



# Zeszyty TŁUMACKIE



III KWARTAŁ 2001

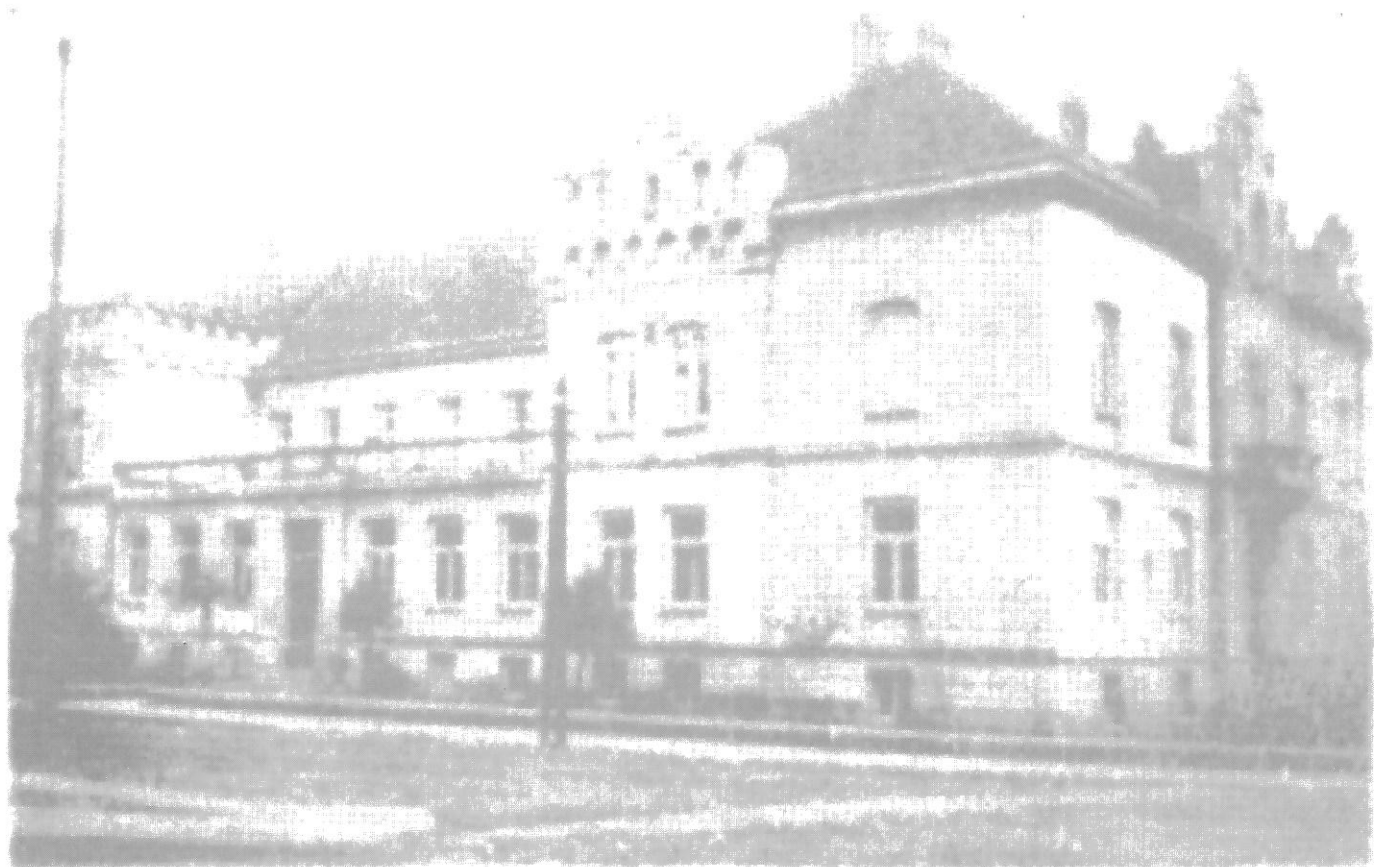
ISSN: 1426-4129

Nr 3 (23)

---

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

---



SWIETLI JARDYN

## Spis treści

Refleksje! – Danuta Tabińska-Juhasz .....	1
<b>I Wspomnienia z I wojny światowej</b>	
Tłumacz i Tyśmienica w „Dzienniku” z lat wojny – Tadeusz Pelikan .....	2
„Żyłem w trudnych czasach” – Paweł Tadeusz Alfred Sulatycki .....	4
SZEMATYZM – GALICJA na rok 1914.....	5
<b>II Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym</b>	
Święta państwowe w Tłumaczu – Ks. Lesław Jeżowski .....	6
Koleją ze Stanisławowa w Karpaty Wschodnie – Stanisław Pelikan .....	8
Święto Rarańczy (Zapomniani bohaterowie II Brygady Legionów) – Edward Śniechowski .....	9
Święto Rarańczy (Przedruk z: „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, Kraków, 21 lutego 1933) .....	9
<b>III Tłumacz w latach wojennych 1939-1945</b>	
Trzy dni pod Lenino (12, 13, 14 październik 1943) – Janina Sokołowska-Kubica .....	11
Lenino – zapomniana nekropolia polskich żołnierzy – Ks. St. Draguła .....	12
Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.) .....	13
Ze wspomnień małolata (c.d. – IV) – Tadeusz Bodniak .....	15
Dalsza twórczość Henryka Rodakowskiego w Pałahiczach .....	17
<b>IV Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża</b>	
Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski .....	21
<b>V Z życia Tłumaczan</b>	
Odpust – Jerzy Czyżycki .....	23
„Skrzydlaty Chłopiec” – Kornelia Szankowska.....	24
Zawiadomienie .....	25
Komunikat .....	25
Wykaz Darczyńców Tłumaczan za III kw. 2001 r. ....	25

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny  
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta  
Franciszek Borkowski  
TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,  
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.  
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Redakcja techniczna:

Adres Redakcji:

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.  
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów  
oraz poprawek stylistyczno-językowych.



Przedstawiamy dwie tablice ufundowane przez tłumaczan w latach 1979 i 1991 w kościele pw. Św. Doroty i Stanisława we Wrocławiu przy ul. Świdniczej.

W czasie zjazdu Tłumaczan w Kołobrzegu w czerwcu 2001 r. podjęliśmy uchwałę o ufundowaniu następnej tablicy, dla upamiętnienia i potępienia zbrodni nacjonalistów ukraińskich w latach II wojny światowej, dokonanej na Polakach – mieszkańcach Tłumacza i powiatu. Będziemy wdzięczni za wpłaty na ten cel.

Zarząd i Redakcja

## Refleksje!

### Danuta Tabińska-Juhasz

Niedawne straszliwe wydarzenia w Ameryce wywołują wspomnienia i porównania tragedii z ostatniej wojny światowej. Naszemu pokoleniu dotychczas wydawało się, że przeżyli wszystko co najgorsze, że byli naoczniymi świadkami najokrutniejszych, najkrwawszych scenariuszy jakie wtedy ludzie mogli zgotować ludziom. Niestety jednak w efekcie rozwoju technologii, mogło dojść do niewyobrażalnych w swoim tragizmie wypadków wymierzonych nie we wrogie armie, a w niewinnych, niczego niespodziewających się, ludzi cywilnych. Zakasowało to nawet nasze ponure wspomnienia z przeszłości. Ślemy szczerze wyrazy współczucia dla rodzin ofiar, jednocześnie zapewniając, że Polacy rozumieją Wasz ból lepiej niż jakikolwiek inny naród.

\*\*\*

Sprawa Jedwabnego i odkryte teraz okrucieństwa minionej wojny zmusza znowu nas Kresowian do refleksji, wspomnień i porównań. Minęła właśnie kolejna rocznica – data 17. 09. 1939 określana przez historyków mianem „czwartego rozbioru Polski” lub przysłowiowym „nożem w plecy”. W małych kresowych miasteczkach obywatele polscy narodowości żydowskiej, ukraińskiej i białoruskiej witali najeźdźców Armii Czerwoną kwiatami. Do tej pory w miasteczkach tych pozostały nazwy ulic „17 żównia”. Profesor Norman Davies, historyk, wybitny intelektualista brytyjski, najbardziej znany na świecie badacz historii Polski, w swojej książce „Boże igrzysko – Historia Polski” pisze: „Wśród kolaborantów, którzy przybyli aby pomagać Sowieckim Siłom Bezpieczeństwa w wywózce wielkiej liczby niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci na odległe zesłanie i przypuszczalną śmierć, była nieproporcjonalnie wielka liczba Żydów”. My zaś pamiętamy, że kolaboranci żydowscy nie musieli przyjeżdżać, gdyż doskonale to robili miejscowi komuniści. Czując się sprzymierzeńcami Sowietów gorliwie pomagali w masowych aresztowaniach inteligencji i w wywózce ludności polskiej na Sybir. Oto przykład:

#### Wspomnienie z tłumackiej stacji

Anna Panachida-Bocheńska

13 kwietnia 1940 roku między 2 i 3 w nocy okupanci sowieccy razem z miejscowymi komunistami ładowali do bydzących wagonów polskie rodziny. Wśród miejscowych komunistów była również Żydówka Lepold, mieszkanka Tłumacza z ul. Kolinieckiej. Z czerwoną opaską na rękawie i naganem zawieszonym u pasa skwapliwie pilnowała aby wszyscy w komplecie znaleźli się w wagonach. W pewnym momencie zauważyła rodzinę pani Zofii Tuzinkiewicz, w której brakowało jednego dziecka. P. Zofia miała trzech synów – 7 letniego Ole-

sia, 5 letniego Jędrusia i 1,5 rocznego Jurka, którego chcąc uchronić przed wywózką na Syberię ukryła u swojego zaufanego pracownika P. Storoża. Niestety, czujne oczy tow. Lepold szybko wychwyciły brak jednego dziecka. Z jej rozkazu dziecko odnaleziono, oddano matce i rodzina już w komplecie została zesłana na Sybir. Mały Jureczek na zawsze pozostał w Kazachskiej Ziemi. Zmarł w Kołchozie Nazarowka w Kustanajskiej Oblaści. Pani Zofia Tuzinkiewicz z dwoma pozostałymi przy życiu synami wyjechała po wojnie z „Nieludzkiej Ziemi” i na stałe osiedliła się w Anglii.

Znane są też przypadki, że Żydzi dzięki współpracy z NKWD ostrzegali znajomych Polaków przed aresztowaniami, czy wywózką lub bezmiennie chronili ich przed takimi zagrożeniami. Pamiętam, jak moja babcia i mama uważały, że częste przesłuchania matki na NKWD ustały gdy zamieszkałyśmy u żydowskiej rodziny Fajerów przy ul. Słowackiego, wyrzucone z naszego przedwojennego dużego mieszkania. Ich najstarszy syn Lolo Fajer współpracując z sowietami prawdopodobnie chronił nas przed deportacją na Sybir i prześladowaniem matki za ucieczkę ojca. Lolo opuścił Tłumacz przed wkroczeniem Niemców, a cała rodzina Fajerów zginęła w tłumackim getcie. Wcześniej jednak najmłodszy syn Fajerów Siomek, a nasz towarzysz dziecięcych zabaw, przekradał się w nocy z getta i przychodził po żywność. Nasza babcia zawsze coś naszykowała i nie spała, czekając na Siomka. Gdy przestał przychodzić, płakałyśmy wszystkie wiedząc co oznaczała likwidacja tłumackiego getta.

Lata wojny pokazały, że każda narodowość miała swoich przedstawicieli, jednych okrutnych, którzy na krzywdzie i łzach drugich chcieli się dorobić, ale byli też bohaterowie, którzy z narażeniem własnego życia ratowali drugiego człowieka. W Tłumaczu do takich należał ks. kan. Edward Tabaczkowski, który bez względu na zagrożenia organizował pomoc. Naprzód szły paczki żywnościowe na Sybir dla zesłańców, potem wystawiał katolickie metryki Żydom, za co został przez Niemców aresztowany. Zginął w 1942 r. w stanisławowskim więzieniu (patrz tablica). Tylko w Polsce obowiązywała kara śmierci za przechowanie Żyda, a jednak najwięcej polskich drzewek rośnie w Parku Pamięci w Izraelu. Byli Tłumaczanie, którzy w tych tragicznych czasach pomagali Żydom. Mówi o tym książka Shlomo Blonda wydana w Izraelu w 1970 r. pt. „The Righte and Gentiles” – „Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi”, z której wyjątki publikowaliśmy w „ZT” od Nr. 2 do 12 – czyli przez 3 lata. Są to wspomnienia Żydów tłumackich uratowanych przez Polaków i Rusinów z tragicznego Holocaustu.

Uważam, że po tak długim czasie od tych wojennych okrucieństw, trudno teraz osądzać, rozliczać i przeproszać, bo było różnie. Wrocławski pisarz Różewicz powiedział, że w każdym człowieku jest Kain i Abel. □



## Wspomnienia z I wojny światowej

### Tłumacz i Tyśmienica w „Dzienniku” z lat wojny<sup>1)</sup>

Tadeusz Pelikan

Po wybuchu wojny w sierpniu 1914 roku August Krasicki jako oficer rezerwy armii austriackiej został zmobilizowany i przydzielony do pułku Landszturmu, gdzie był adiutantem w 2. batalionie pod Przemyślem. 4 września na własną prośbę przeniesiony został do austriackiej komendy Legionów Polskich. Szlak bojowy wiódł go długą i zawiłą drogą przez Karpaty Wschodnie, Bukowinę, Pokucie, a tam do Tłumacza i Tyśmienicy.

Uczestnicząc w kampanii wojennej w latach 1914-1916 August Krasicki prowadził „Dziennik”, często w bardzo niedogodnych warunkach i sytuacjach. Spisywał to co przeżył i doświadczył danego dnia. Opisywał miasta i wsie w których był, opisywał ludzi których spotykał, ukazywał obraz zniszczeń wojennych.

Oto wybrane fragmenty „Dziennika”.

Otynia, środa 24.II.1915.

Około 4-ej rano pociąg staje na stacji Otynia, linii kolejowej Kołomyja-Stanisławów. Dostawszy kociołek ciepłej wody, przyrządzam herbatę. Wobec braku wiadomości o nadejściu pociągu z końmi idziemy piechotą do miasta oddalonego blisko dwa kilometry. Na drodze rozmokły śnieg i błoto po kostki. Przechodzi się koło fabryki maszyn Bredta, dziwnym trafem nie zniszczonej. Mieścina mała, żydowska, nie widać wielkiego spustoszenia. Cały dzień oczekujemy nadejścia pociągu z końmi i amunicją, bez którego nie możemy iść naprzód. Na dworze odwiłz i pochmurno.

Tłumacz, czwartek, 25.II.1915.

O 7-ej rano wyjeżdżamy przez Zakrzewce, Tarnowicę Polną, Hryniowce drogami bocznymi do Tłumacza. Okolice tu pagórkowata, wsie gęsto rozsiane. Ludność nie ma w tych stronach charakterystycznych strojów, chłopcy w długich kozuchach z długimi baranami kołnierzami. Kobiety noszą na szyi zamiast koralików kilka monet lub medali metalowych, talary z Marią Teresą, a także medale jubileuszowe z 1898 roku Franz Josefa. Drogi boczne przeważnie śniegiem zawiane pełne wybojów, we wsi za to błoto po kolana. Do Tłumacza wjeżdżamy około południa. Miasto nie bardzo rozległe, rynek brudny żydowski, kościół z dwoma wieżami, cerkiew przy gościńcu do Tyśmienicy, duży nowy gmach Sokoła i zabudowania dworskie, dawniej własność Jahna. Majątek został przed kilkunastu laty rozprzedany, właścicielem pozostałości z dworem został notariusz Dolajs, po którym wdowa tu mieszka. Tu mam kwaterę z generałem. Domu mieszkalnego i urzędu Moskałe nie zniszczyli, skarży się tylko pani Dolajsowa, że oficerowi u niej kwatrujący zabrali wszystką pościel i poduszki. Na obiad idziemy do maneży urządzonej w domu p. Piotrowskiego, obok stacji kolejowej. Piotrowski jest handlarzem świń, wygląda też na typowego swego fachu. Dom bardzo brzydki w stylu secesyjnym,

nowo zbudowany, obok chlewnie. Urządzenie domowe ochronił przed Moskałami, jak powiada, poświęcając kilka świń i zapasy paszy. Kilka kilometrów stąd na północ płynie Dniestr, na drugim brzegu rzeki Moskałe swoje umocnili i bronią przejścia. Po południu do kwatery generała przyszli oficerowie austriacy. Przyszedł także miejscowy proboszcz łaciński Tabaczkowski. Pod wieczór batalion Legionów wypłoszył Moskała z Niżniowa i przeszli Dniestr paląc most.

Olszanica, piątek, 26.II.1915.

O godzinie 8-ej rano wyjeżdżamy konno z generałem przez Pałahicze, skąd rozgałęzia się linia kolejowa do Tłumacza, z głównej linii Buczacz-Stanisławów. Od wschodu słychać silną kanonadę i salwy karabinowe. Moskałe napierają na Stanisławów wedle ostatnich meldunków. Wszystkie słupy telegraficzne leżą pościńcane, a druty pozrywane; spotykamy maruderów austriackich, których generał zawraca na front, przy pomocy swej trzciny, donośnym głosem apelując do ich honoru żołnierskiego. Mijamy na boku Tyśmienicę i dojeżdżamy do wsi Olszanica. Mijamy cmentarz, gdzie leżą zabici żołnierze austriacy z wczorajszej bitwy, dla których wspólny grób kopią, jest ich przeszło 70. W małej chałupce zastajemy nasz sztab, czekają na dyspozycje z Komendy Dywizji. Po zajęciu Niżniowa, II i III bataliony tam pozostały, przeszkadzając Moskałom przeprawę przez Dniestr.

Tyśmienica, sobota, 27.II.1915.

O 8-ej rano wyjeżdżamy konno: generał, ja i ks. kapelan Tomaszewicz. Jedziemy polną drogą do Uzina, częściowo lasem, droga strasznie rozbita armatami. Przy drodze świeże groby żołnierzy pochowanych tam, gdzie padli, na krzyżach tabliczki z nazwiskami poległych. Na wzgórzach obok Uzina walczone wczoraj, poległo tu około 200 żołnierzy austriackich. Moskałe stracili w zabitych i rannych około 2000. Około 3-ej wyjeżdżamy przez Podpieczary do Tyśmienicy. Z polnej drogi zjeżdżamy na gościniec, 2 kilometry od Stanisławowa, który widzimy z góry. Przed Tyśmienicą spalona fabryka drożdży, a przy gościńcu wszystkie słupy telegraficzne pościńcane. Kwatery mamy w klasztorze oo. dominikanów. Klasztor i parafię, którą oni tu mają, fundował Mikołaj Potocki z żoną swą Zofią z Firlejów.

Tyśmienica, niedziela, 28.II.1915.

O godz. 8 rano byłem na mszy św. Kościół dominikanów podczas bitwy zeszłej niedzieli ucierpiał trochę, dwa szrapnele trafiły w okno nad wejściem. W wielkim ołtarzu jest stary obraz, zupełnie czarny, pokryty złotymi i srebrnymi ozdobami, trudno rozpoznać co przedstawia, jest to wizerunek Chrystusa, a dopiero napis: „Fui flagellatus tota die, flagellatio mes a matutinis”<sup>2)</sup> wyjaśnia. Po śniadaniu około 10-ej wyjeżdżamy do Kłu-



bowiec. Przejeżdżamy przez miasto, na rynku duży dom – „Narodna Torhowla” z dużym olejnym malowidłem na froncie przedstawiającym Bohdana Chmielnickiego na koniu. Kościół ormiański, także fundacji Mikołaja Potockiego i cerkiew unicka. Jest tu duża fabryka kozuchów, w fabryce miało być skór wartości 200 000 kr., które zabrali Moskale płacąc 20 000 rubli. Jedziemy gościńcem w kierunku Niżniowa i stajemy na kwaterach w pierwszej wsi Kłubowce. Folwark również należy do Potockich z Buczacza, w części spalony. Kwaterujemy w niedużym budynku szkolnym i po domach we wsi. Dzień cały słychać od strony Halicza silny odgłos armat. To wojska austriackie forsują przejście Dniestru pod Haliczem. Bataliony Legionów rozstawione są nad Dniestrem i pilnują przeprawy, ale Moskale siedzą cicho, za Dniestrem.

Poniedziałek, 1.III.1915.

Bitwa pod Haliczem rozwinęła się na dobre, całą noc i dzisiaj słychać grzmot armat. Po południu jeździłem konno w kierunku Jezupola do batalionów legionowych i na przyległe wzgórza dla orientacji. Od Halicza słychać też salwy karabinowe.

Wtorek, 2.III.1915.

Rano padał śnieg. Po południu armat spod Halicza nie słychać, kanonada zaczęła się dopiero około 3-ej po południu i trwała bez przerwy do wieczora. Po południu jeździłem znowu konno na nasz front i na wzgórza na północ od Tyśmienicy dla rekonesansu terenu. Ze wzgórz było słychać strzelaninę karabinów ręcznych i maszynowych. Około 6-ej wieczorem nadszedł rozkaz ażeby tabory Legionów niezwłocznie odesłać do Tłumacza. Zarządzenie to zrobiło na nas niemiłe wrażenie. Tabory odjechały o 9-ej wieczór.

Środa, 3.III.1915.

Noc przeszła spokojnie. Znad Dniestru ranne raporty nic ważnego nie przyniosły. Major Januszajtis donosi, że jego patrol wziął na drugim brzegu Dniestru 11 Kozaków z końmi. Ze Stanisławowa nie ma wiadomości. Około 10-ej zaczęły odzywać się armaty. Po południu jeździłem konno do Tyśmienicy z meldunkami. Wieczorem nadeszła wiadomość, że tabory nasze odchodzą z Tłumacza do Kołomyi. Czekamy na rozkaz odmarszu, gdyż nadchodzą wieści, że Stanisławów ewakuują. Podobno lewe skrzydło, gdzie są wojska niemieckie, zostało odrzucone.

Jezierzany, czwartek, 4.III.1915.

Nieprzyjaciel zajmujący Stanisławów napiera w kierunku na Tłumacz. O 8-ej rano cały sztab wyjeżdża do Jezierzan na południowy wschód od Tłumacza. Po drodze spotykamy liczne tabory ciągnące ze Stanisławowa. Od frontu dochodzi odgłos strzałów armatnich i karabinowych, dzisiaj już bliższy. Do Tłumacza wyjeżdżamy około 12-ej. Stajemy we dworze, gdzie generała i mnie pani Dolajsowa przyjmuje gościnnie obiadem. O 2-ej wyjeżdżamy ku wschodowi z Tłumacza, w tym kierunku ciągną też liczne tabory i baterie, co wywołuje popłoch wśród mieszkańców. Pytającym się o sytuację trzeba mówić, że jest najlepsza, że planowo się cofamy, a niebawem pójdziemy naprzód. Wyjechawszy za miasto trafiamy na gościniec zapchany wozami i działami. Wiatr zaś od północy mroźny, śnieg zaczyna sypać i wkrótce zamienia się w zadymkę. Wśród zawiei brnąca w śniegu piechota, grzęznąca w

zaspach działa, które przy pomocy kanonierów konie z wysiłkiem wyciągają, a wszystko to przy akompaniamencie kanonady tworzy tragiczne obrazy coś a la Berezyna. Wjeżdżamy do wsi Jezierzany. Pokazano nam tu konie wzięte poprzedniego dnia z Kozakami za Dniestrem. Kozaków patrol nasz wziął w ten sposób, że przydybał ich śpiących, podobno nawet spitych w chałupie. Zostajemy na noc w plebanii u księdza ruskiego. Stanisławów zajęli Moskale na dobre.

Korszów, piątek, 5.III.1915.

Wracając od szefa sztabu słyszałem już strzały armatnie, a około 8-ej rozpoczęła się strzelanina karabinowa. Konie nasze osiodlane stoją gotowe. Nagle we wsi zrobił się ruch i popłoch. Rozmaite tabory zaczynają pośpiesznie wyjeżdżać, ze szpitala polowego wynoszą na gwałt chorych i rannych. Przybył kpt. Zagórski z rozkazem ażeby artyleria Legionów natychmiast zajęła pozycje na wzgórzu sąsiednim i rozpoczęła ogień na nieprzyjacielską piechotę, mającą się zbliżyć od Stanisławowa. Na wzgórzach już od strony Tłumacza widać rozsypanych w tyralierkę Moskali. Po przejściu naszych wojsk do kontrofensywy Moskale przestali napierać, a po południu cofnęli się i Januszajtis zajął z powrotem Tłumacz. Tymczasem panika dalej się szerzyła. Śnieg, który spadł wczoraj, miejscami potworzył zasy, w których grzęzną wozy taborów, stwarzając tym większe jeszcze zamieszanie.

Chocimierz, sobota, 6.III.1915.

Mjr Januszajtis zajął Tłumacz, lecz nie na długo się tam utrzymał, dziś bowiem rano pod naporem większych sił rosyjskich Tłumacz został ponownie ewakuowany. Przed opuszczeniem Tłumacza mieli tam wczoraj Moskale wielkie spustoszenie zrobić. Obecnie walka się toczy na północ od Chocimia. Moskale napierają znacznymi siłami, kanonada i ogień karabinowy nie ustają na chwilę.

Kołomyja, 24.III.1915.

Widziałem dziś pierwsze bociany, leciały 3, zdziwione są na pewno tyloma zgliszczami w Polsce. Wyszły dziś z komendy przyczółka ostre rozporządzenia co do ewakuacji napływowej ludności z Kołomyi, jest tu bardzo dużo uchodźców ze Stanisławowa i z Tłumacza. Razem ma być około 10.000 osób. Ze Stanisławowa przyjechało tu kilkudziesięciu dorożkarzy, którzy zastępują miejscowych, którym Moskale zabrali konie. Również zarządzono, żeby ludność zaopatrzyła się w żywność, tymczasem już daje się odczuwać brak mięsa i mąki, a wszystko znacznie podrożało. Ominęło mnie oblężenie w Przemyślu i Krakowie, gotowym przeżyć to w Kołomyi.

Przypisy:

1) August Krasicki, Dziennik z kampanii rosyjskiej, 1914-1916, Warszawa 1988.

2) „Byłem smagany cały dzień, moje bicowanie od poranka”. S. Barącz, w „Pamiętniku dziejów polskich (Lwów 1855) pisał o tym obrazie: „W roku 1690 przeorem był ks. Prokop Kruczkiewicz. Około tego czasu, zaczął słynąć cudami obraz na płótnie malowany Pana Jezusa u słupa bicowanego w kościele dominikanów w Tyśmienicy, o którym powiadają, że go rolnik na polu wyorał”. □

# „Żyłem w trudnych czasach”

Paweł Tadeusz Alfred Sulatycki

*Zosia Kupras-Kłosowska z Krakowa nadesłała nam wraz z miłym listem fragment książki pod w/w tytułem. Autor przebywał w Tłumaczu przed I Wojną Światową jako wychowawca bursy. Poniżej drukujemy jego życiorys oraz obszernie fragmenty książki dotyczące pobytu autora w Tłumaczu.*

Redakcja

Paweł Tadeusz Alfred Sulatycki – urodził się 9 maja 1892 r. w Kołędzianach pow. Czortków. Dzieciństwo spędził w domu rodzinnym w Hinkowcach. Do szkół uczęszczał w Stanisławowie i Zaleszczykach, do gimnazjum we Lwowie i Buczaczu. W 1912 roku rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego, których nie ukończył. W 1913 roku powołany został do armii austriackiej zostając oficerem intendencji. Z chwilą odzyskania niepodległości w 1918 r. pozostał jako oficer w Wojsku Polskim służąc w intendencji kolejno w Dęblinie, Łodzi i Przemyślu. W roku 1935 przeszedł do administracji państwowej, zostając w latach 1936-1937 starostą w Kozienicach, a następnie w latach 1938-1939 starostą w Wysokiem Mazowieckim. Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. przez Brańsk, Bielsk, Kobryń, Brześć dotarł do Zimnej Wody k/Lwowa. Po ostrzeżeniu wraz z rodziną ucieka przed bolszewikami przez Przemyśl do Częstochowy. W Częstochowie przebywa do 1945 r. Tu rozpoczyna swą działalność konspiracyjną najpierw w ZWZ, później w AK. Po II wojnie zamieszkał we Wrocławiu, a następnie w Gdańsku, gdzie zmarł 14 grudnia 1976 r. Pochowany został na cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

...odprowadzony przez licznych kolegów na dworzec, wyjechałem do Tłumacza.

Internat w Tłumaczu powstał staraniem miejscowego kanonika, księdza Tabaczkowskiego, i pozostał pod jego pieczęcią jako protektora. Mieścił się w jednopiętrowym budynku, w którym kiedyś była cukrownia, a potem koszary austriackie.

Gdy się zgłosiłem do kanonika, ten oprowadził mnie po internacie, zaznajamiając z obowiązkami, jakie będą na mnie ciążyć. Mieszkało tam wówczas około 50 wychowanków, chłopców z klas gimnazjalnych I-IV. Obsługa internatu – a więc porządki, kuchnia, stołówka i pralnia – należała do sióstr zakonnych, które zajmowały cały parter. Ja dostałem pokój na piętrze, gdzie mieściły się też sypialnie chłopców, jadalnia i duży pokój recepcyjny, służący do nauki lub rozrywek. Z miejsca ogarnęło mnie tam, w nowym otoczeniu, dobre samopoczucie. Kładąc się wieczorem spać w wygodnym łóżku, w śnieżnobiałej pościeli, poczułem, że po lwowskiej tułaczce moja sytuacja materialna ma szansę na ustabilizowanie.

Jak też dziwnie rzucił mnie przypadek w te strony, gdzie przed czterdziestu laty zmarł mój dziadek Erazm. I to do budynku, w którym niegdyś pracował. Doprawdy, rzadki zbieg okoliczności...

Rano, gdy wychowankowie byli w szkole, ja wgłębiałem się w skrypty. Po obiedzie odbywałem z chłopcami wspólny półgodzinny spacer lub organi-

zowałem im jakąś zabawę na wolnym powietrzu. Później nauka i udzielanie pomocy słabszym uczniom. Niektórym, na prośbę rodziców, udzielałem korepetycji za oddzielnym, ustalonym wcześniej, wynagrodzeniem. Również z miasta zwracano się do mnie o prywatne domowe nauczanie dzieci. Dodatkowo poruczono mi także prowadzenie księgowości w świeżo założonej przez ks. Tabaczkowskiego spółdzielni handlowo-rolniczej. Prowadziłem amerykańkę. Pracy z tym miałem zaledwie do trzech godzin dziennie, przed południem.

Gdy na pierwszego zaczęły mi wpływać pieniądze za lekcje i prowadzenie księgowości, miałem już pełną satysfakcję ze swej materialnej niezależności.

Moje dni były po brzegi wypełnione zajęciami. Wstawałem o godzinie 6.00, a zmęczony po całodziennej gonitwie szedłem do łóżka o 23.00. To, że w tłumackim środowisku okazałem się potrzebny, podniecało moją ambicję i zachęcało do wykazywania się coraz lepszymi wynikami pracy. A szedł mi wtedy dopiero dwudziesty pierwszy rok życia.

Do ks. Tabaczkowskiego odnosiłem się zawsze z głębokim szacunkiem oraz z wielkim podziwem i uznaniem dla jego niestrudzonej pracy społecznej. W tym małym mieście, jakim był Tłumacz, był to jedyny człowiek o naprawdę niespożytej żywotności, który z wielkim samozaparciem i bezgranicznym poświęceniem żył, myślał i pracował dla ogółu. A wszystko to czynił cicho, spokojnie i rzeczowo. Tylko dzięki jego pomysłowości i inicjatywie to ubożuchne wówczas miasteczko – poprzez zakładane przez niego placówki kulturalne, przemysłowe i handlowe – zaczęło dźwigać się na wyższy poziom. Wiele lat później, w 1943 roku, hitlerowcy wyprowadzili ks. Tabaczkowskiego na czele grupy Żydów, którym w czasie okupacji pomagał, za miasto i tam razem z nimi bestialsko zamordowali.<sup>1)</sup>

Nadchodziły ferie świąteczne. Wszyscy chłopcy z internatu wyjeżdżali do swych domów, więc i ja wybrałem się do rodziców. Przed podróżą sprowadziłem z Czech różne świąteczne drzewka oraz podarki dla rodziców i rodzeństwa. Napawało mnie wielkim zadowoleniem, że mogłem zrobić wszystkim w domu radość drobiazgami nabytymi za moje własne, zarobione pieniądze.

Rodzicom musiałem opowiadać bez końca ze szczegółami o mojej drodze od chwili wyjazdu z domu. Wypoczywając w pogodnym ciepłym rodzinnym, w beztroskim nastroju, myślałem jednocześnie o możliwościach pomocy materialnej rodzicom. Pensja nauczycielska ojca była za niska, by – bez uszczerbku dla domu – mogła wystarczyć na posłanie czterech młodszych braci do szkół w mieście. I

ten problem zabił mi wprost ćwieka w głowie.

Pod koniec ferii, tuż przed świętem Trzech Króli, postanowiłem pojechać na trzy dni do Przerośla, by odwiedzić Milę – o czym ją wcześniej zawiadomiłem. Na stacji kolejowej Tarnowica Leśna czekały na mnie konie, lecz nikt z domowników nie wyjechał, co bardzo mnie zastanowiło. W domu zastałem nastrój minorowy. Miła była wprawdzie serdeczna, ale jednocześnie powściągliwa. Dowiedziałem się, że jej matka jest w szpitalu w Stanisławowie i że ich teraz często odwiedza urzędnik skarbowy Bielecki z tegoż miasta, który stara się o rękę Mili. I cała rodzina chce koniecznie wydać Milę za niego. Matka Mili wyraziła podobno poważną obawę, że nim zdolał ustalić sobie taką pozycję materialną, która zapewniłaby byt przyszłej rodzinie, musi jeszcze sporo lat upłynąć. Życzy więc sobie, by Miła wyszła za mąż jak najprędzej.

Byłem tym wszystkim oszołomiony. Z jednej strony czułem żal do Mili za brak zdecydowania, z drugiej, z powodu mojej chwilowej bezradności, bolałem nad jej położeniem. Bądź co bądź Miła była moją pierwszą, młodzieńczą miłością. Cóż miałem robić? Rozumiałem jej położenie oraz konieczność ustalenia jej przyszłości przed odejściem matki. Tym bardziej, że Miła zdawała się nie być przygotowana do samodzielnego życia. Ja zaś, nie mając istotnie ustalonej pozycji materialnej, nie mogłem obiecywać gruszek na wierzbie. Niezdecydowanie Mili, gdy ją zapewniałem, że najprawdopodobniej za dwa lata moglibyśmy się pobrać, nieprzyjemnie mnie dotknęło.

Opuściłem Przerośl w zupełnie innym nastroju niż dawniej, mimo że Miła odprowadziła mnie na stację i serdecznie pożegnała, jakby w ten sposób chciała powiedzieć: „Nie bierz mi za złe tego, co robię”.

Wróciłem do Tłumacza. Codzienne obowiązki i gwar rozradowanej młodzieży w internacie porwały mnie na nowo w wir życia tak mocno, że myślałem tylko o pracy i o tym, jak ze skromnych zarobków

zaoszczędzić trochę pieniędzy na dalszą przyszłość.

Pierwsze szkolne półroczcie zakończyło się pomyślnie dla wychowanków internatu, gdyż wszyscy otrzymali dobre świadectwa. Wiele podziękowań wpłynęło na moje ręce od ich rodziców, a od leśniczego Oстера, którego syna uczyłem, dostałem w prezencie dubeltówkę.

Wiosną 1913 roku otrzymałem wezwanie do stawienia się w Czortkowie przed wojskową komisją poborową. W odpowiedzi wniosłem podanie o przydzielenie do szkoły oddziałów telegraficzno-telefonicznych. Nie czułem najmniejszej chęci, żeby pchać się do oddziałów liniowych, by tam narażać życie w obronie Austrii, która ciemniżyła mój kraj. Tymczasem po ukończeniu jednorocznej wojskowej szkoły telegraficzno-telefonicznej można było bez trudu dostać pracę w urzędzie pocztowym lub kolejowym w stopniu asystenta. Ale komisja orzekła, że jestem dobrze zbudowany i nadaję się do oddziału liniowego – do kawalerii. Były to oddziały uprzywilejowane. Każdy elew szkoły oficerów rezerwy kawalerii miał mieć własnego konia i przez cały czas trwania służby dokładać do jego utrzymania. Oświadczyłem więc komisji, że niestety nie mam i nie będę miał funduszy na utrzymanie się w szkole kawalerii, dlatego proszę raz jeszcze o przydzielenie do formacji telegraficzno-telefonicznej. Po krótkiej naradzie komisja dała mi bezapelacyjny przydział do... 95. pułku piechoty. Trochę mnie to zmartwiło, ale coż mogłem na to poradzić, jak tylko powiedzieć sobie: „Spokojnie, człowieku, zostawmy to przyszłości”. I bez paniki wróciłem do Tłumacza.

Po zakończeniu roku szkolnego 1912/1913, mając w perspektywie powołanie jesienią do wojska, opuściłem Tłumacz żegnany serdecznie przez wychowanków, ich rodziny oraz radę nadzorczą z ks. kanonikiem Tabaczkowskim na czele.

1) Ks. Edward Tabaczkowski zmarł w więzieniu hitlerowskim w Stanisławowie. Został aresztowany za wystawianie aryjskich metryk Żydom. □

## SZEMATYZM – GALICJA na rok 1914

C. k. Gimnazjum w Tłumaczu  
Dyr. Grzegorzewicz Wojciech,  
Prof. Budzianowski Władysław,  
– Czerwiński Feliks, przydz. z II. gimn. w Tarnopolu,  
– Gawik Mieczysław, dr.  
Naucz. Fuliński Benedykt, przydz. do IV gimn. we Lwowie,  
Kotowicz Stanisław,  
– Leśniak Jan,  
– Silberschlag Jonasz,  
– Waligóra Michał, przydz. z gimn. w Buczaczu,  
– Wątorwk Józef, przydz. do I gimn. w Stanisławowie.  
Zast. naucz. Chyimiakowski Romuald,  
– Cichocki Władysław,  
– Hermann Szymon,

Jasioł Franciszek (na url.).  
Zast. naucz. Kamiński Leon, ks. rz. kat.,  
– Kermel Engelbert (na url.),  
– Pławiuk Jan, ks. gr. kat.,  
– Toperman Elias, dr (na url.),  
– Wicher Ludwik (na url.),  
– Zbiegień Jan.  
Naucz. pomoc. Nunbverg Wilhelm, dla rys.,  
– Urman Fabian, dla rel. mojż.  
Nauczyciele przedmiotów nadobowiązkowych  
Czyżowski Stanisław, dla śpiewu,  
Hrapkowicz Józef, dla gimnastyki,  
Leśniak Jan, dla gimnastyki.  
Na rok szk. 1913/14 «4 zapisało się w 4 klasach gł. i 4 równorzęd. 244 uczniów publ. i 11 uczennic prywatnych. □



# Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

## Święta państwowe w Tłumaczu

Ks. Lesław Jeżowski

*„Jest miasteczko, co nad rzeczką wśród ogrodów śpi  
Monotonnie w tym miasteczku upływają dni  
Dzień podobny do dnia, tydzień do tygodnia...”*

Te słowa piosenki, znanej w latach pięćdziesiątych, można odnieść i do naszego miasteczka nad Tłumaczykiem. Upływające w nim dni nie różniły się od siebie, nie działo się w nich nic nadzwyczajnego; do niecodziennych zjawisk należały tylko np. przejazd jakiegoś nietłumackiego samochodu, powozu hr. Dzieduszyckiej z Pałahicz, bryczki z białymi Niepokalankami z Niżniowa, a nawet widok jakiegoś obcego przyjeźdźcy na ulicy. A poza tym: dzień, jak co dzień. Jedynie, nie mówiąc o uroczystościach kościelnych, miasto ożywiało się w dwa święta państwowe: 3 maja i 11 listopada.

Program ich obchodu widniał na afiszach, które rozlepiano na tablicach ogłoszeń, a w szkołach nauczyciele wyjaśniali uczniom znaczenie i rodowód tych świąt. Tłumaczanie myślący patriotycznie nabywali okolicznościowe nalepki i zdobili nimi okna swoich mieszkań, na większości domów pojawiały się flagi o barwach narodowych. Dekorowali swoje domostwa nie tylko Polacy, ale i Żydzi oraz niektórzy Rusini. Szare ulice nabierały kolorów, jakby piękniały bielą i czerwienią.

Wieczorem przed obydwoma świętami ulicami miasta maszerowała orkiestra grająca marsze i okolicznościowe melodie. Orkiestra, oczywiście gimnazjalna, bo innej w Tłumaczu nie było. Chłopcy występowali w granatowych mundurkach szkolnych, bądź zielonkawych Przystosobienia Wojskowego (P. W.). Na tę orkiestrę zawsze było można liczyć. Nie odmawiała zaproszeniom skierowanym do niej przez władze powiatowe, samorządowe, kościelne, a nawet osoby prywatne. Członkowie orkiestry lubili grać, cieszyła ich sympatia okazywana im przez tłumaczan. Istnienie tej orkiestry, jej niezły poziom muzyczny, powiększanie repertuaru, wszystko to stanowiło dzieło p. Misieckiego, nauczyciela w szkole powszechnej, ofiarnie szkolącego grających gimnazjalistów, nie skąpiącego swego wolnego czasu na próby z nimi.

Przedświąteczna wędrowka orkiestry przez miasto nosiła nazwę capstrzyk. Słyszając grających chłopców, mieszkańcy podchodzili do okien, aby ich zobaczyć, czasami obdarzyć też oklaskami. W niektórych oknach podczas capstrzyku pojawiały się zapalone świece, ten i ów umieszczał tam włączone żarówki. Idący z orkiestrą p. Misiecki prowadził ją zawsze przed domy, w których mieszkali tłumaccy notable. Zwyczajowo wykonywano tam jeden utwór ku uczczeniu prominentnych osób miasta. Prawie zawsze przy orkiestrze wędrowały dzieci wrażliwe na muzykę, lubiące obserwować błyszczące instrumenty i dostrajać swój krok do marszu gimnazjalistów. Wieczorny, przedświąteczny capstrzyk

nie był, oczywiście, jakąś tłumacką wyłącznością. Odbywały się one w innych miastach polskich, również w Stanisławowie. Być może, że stamtąd przysłała inspiracja do odbywania go i w Tłumaczu. Okazałe capstrzyki stanisławowskie grało kilka orkiestr: wojskowa, kolejarska, strażacka. Tłumacki capstrzyk, chociaż znacznie skromniejszy, równie dobrze jak tamten, wojewódzki, wprowadzał miasto w świąteczny nastrój.

Orkiestra dęta gimnazjum rozpoczynała też świąteczny dzień. Jej ponowny przemarsz przez miasto nosił miano pobudki. Nie powtarzały się w niej melodie grane poprzedniego wieczoru. Pobudka nia miała tylu widzów, słuchaczy i małych kibiców, co capstrzyk. Ponieważ odbywała się o 6 g. w maju, a o 7 g. w listopadzie, zastawała większość obywateli jeszcze w łóżkach, bądź przy śniadaniach. Z uwagi na dzień wolny od pracy rozpoczynali swoje domowe zajęcia znacznie później. Zanim rozpoczęła się uroczysta Msza św. w kościele (tylko 3 maja), cerkwi i nabożeństwo w bóżnicy, sporo ludzi przychodziło na ulicę Słowackiego, obok Starostwa, do parku, na początek ulicy Pierackiego, aby obserwować tam formujące się oddziały do świątecznego pochodu i defilady. Największe zainteresowanie wzbudzały Sokoli ustawiający się w drużyny żeńską i męską przy Starostwie. Sokolów było stosunkowo dużo i, co ważniejsze, wywodzili się z kręgów tłumackiej inteligencji, powszechnie znanej. Oficjalna ich nazwa brzmiała: Towarzystwo Gimnastyczne Sokół. To patriotyczno-społeczne stowarzyszenie powstało we Lwowie w 1867 r. Sama gimnastyka chyba mniej je zajmowała. Wkrótce rozpowszechniło się w całej ówczesnej Galicji, dotarło do Tłumacza. Podczas świąt narodowych Sokoli ubierali swoje mundury. Druchny w białych bluzkach, granatowe kostiumy i tegoż koloru kapelusze ozdobione sokolim piórem, druhowie nosili czerwone koszule, mundury zielonkawe i tej samej barwy rogatywki z piórem, na nogach buty z cholewami. Na co dzień, poza kilkoma policjantami i wojskowymi, nie widziało się w Tłumaczu tylu umundurowanych osób i to, jak się dawniej mawiało, płci obojga. Toteż ładnie się prezentujące ich szeregi, podążające ze swoim sztandarem na defiladę, budziły zainteresowanie.

Do drużyn Sokolów dołączali się Strzelcy uzbrojeni w karabiny, ubrani niemal jak żołnierze. Ich oddział tworzyli młodzi mężczyźni w wieku około poborowym. Związek Strzelców utworzył się, podobnie jak Sokół, we Lwowie, ale znacznie później, bo w 1910 r. Jako organizacją paramilitarną kierowali nią w Tłumaczu, przy końcu międzywojennego dwudziestolecia, kapitanowie: Skowroński, a po nim Wilczewski, przy pomocy dwóch podoficerów i p. Chrzanowskiego. Na terenie gimnazjum działało Przystosobienie Wojskowe instru-

owane przez wspomnianych oficerów i podoficerów. Ono też brało udział w defiladzie. Chłopcy nosili zielonkawą mundurę, czapki szkolne, na ramionach trzymali broń. Osobne oddziały tworzyli harcerze i harcerki.

Najliczniejszą grupę stanowiły dzieci ze szkoły powszechnej oraz młodzież męska i żeńska z gimnazjum, ustawieni w czwórki i poprzedzani sztandarami. Dokąd istniało w Tłumaczu Seminarium Nauczycielskie, jego uczennice formowały się odrębnie. Nie brakowało w pochodzie członków istniejących w mieście mniej eksponowanych stowarzyszeń, związków, a także przedstawicieli miejscowego rzemiosła, kuźnictwa.

Cały pochód ruszał sprzed Starostwa i gimnazjum ulicą 3 Maja, następnie Piłsudskiego na rynek i pl. Wolności. Chodnikami szły matki z małymi dziećmi w wózkach, bądź prowadzonymi za rękę, ludzie starzy, przybysze z okolicznych wsi i zwykli ciekawscy. Na placu, w pobliżu pomnika, przed księgarnią Zorza stała ad hoc zbudowana trybuna, na którą wchodzili reprezentanci władz państwowych i samorządowych, wojskowi, ks. proboszcz, dyrektorzy szkół itp. Przemówienie wygłaszał ktoś z obecnych na trybunie, czasem zabierał po nim głos ktoś z tłumackich notabli, przemawiali lub wygłaszali okolicznościowe wiersze gimnazjaliści, dzieci szkolne. Wreszcie rozlegał się grany i śpiewany hymn państwowy lub Rota Konopnickiej. Przed stojącymi na trybunie rozpoczynała się defilada oddziałów tworzących pochód. Przechodząc marszowym krokiem przed trybuną, wszyscy przepisowo zwracali swój wzrok do obecnych na niej, a niektórzy czynili to żywiej, wyszukując wśród nich krewnych lub znajomych. Gdy się to udało, przelotny uśmiech zbliżał twarze szukających i odszukanych. Do małomiasteczkowych sytuacji dołączała jeszcze jedna.

Po przejściu paradnym przed odbierającymi defiladę, jej członkowie szli w stronę ulicy Kolinieckiej i tam, w pobliżu tylnego wejścia do parku, rozchodzili się.

Przebieg przemarszu przez miasto i defilady przed tłumackimi osobistościami nie zawsze był taki sam. W zależności od warunków ulegał w pewnych latach zmianom. Dobrym przykładem obywatelskiego współżycia tłumaczan należących do różnych wyznań były nie tylko wspomniane nabożeństwa w intencji Państwa, odbywające się w miejscowych świątyniach, ale udział w nich urzędników państwowych i samorządowych. Np. do żydowskiej bóżnicy znajdującej się na terenie izraelskiej dzielnicy miasta zwanej Meksyk, udawał się zawsze starosta lub jego zastępca.

Po południu w dniu 3 maja, jeżeli nie zawiedli organizatorzy i dopisała pogoda, w parku miejskim odbywał się festyn. Wywołanie i podtrzymanie odpowiedniego nastroju przypadało niezastąpionej orkiestrze gimnazjalnej, która z przedpołudniowych, defiladowych marszów przechodziła na melodie rozrywkowe i taneczne, chętnie słuchane przez przybyłych gości. Przy alejkach parkowych ustawiono długie stoły, a na nich mnóstwo potraw, wędlin, ciast i tortów. Można je było nabywać po bardzo przystępnych cenach. Artykuły spożywcze przeważnie pochodziły z kuchni gospodyń domowych i były ofiarowane bezpłatnie komitetowi organizacyjnej-

mu festynu. Nie brakowało różnych napojów. Z alkoholowych podawano tylko piwo. W wybranych miejscach grano w kręgle, strzelano do tarczy, ruchomych figur, dzieci miały do zabawy gry ruchowe. Do atrakcji festynowych należała też loteria fantowa. Urządzano ją dla zdobycia funduszu na określony, pożyteczny cel. Fanty pochodziły od ofiarniejszych tłumaczan, wśród których nie brakowało kupców. Między fantami znajdowały się niekiedy cenne przedmioty np. rozmaite aparaty, serwisy stołowe, konfekcja, obuwie. Wyznaczeni do tego chodzili między przebywającymi na festynie i zachęcali ich do nabycia losów, które trzymali w odpowiednich, małych pojemnikach. Kto wybrał pełny los, mógł ze stosika z fantami wziąć ten, który mu przypadł.

Wieczorem w święto, albo w dniu poprzednim, chodzono do sali Sokoła na akademię. Składały się na nią recytacje, muzyczne występy wokalne i instrumentalne w amatorskim wykonaniu. Czasem akademię uzupełniał lub zastępował utwór sceniczny również odegrany przez nieprofesjonalnych, miejscowych aktorów, często nauczycieli i uczniów. Bywało, że sięgano po wielkie, patriotyczne dramaty, jak Noc listopadowa – Wyspiańskiego, Kordian – Słowackiego. Zbieżnie z wieczornymi akademiami czczono święta państwowe tzw. porankami. Odbywały się one również w sali Sokoła. Jak sama ich nazwa wskazuje, zawsze w godzinach przedpołudniowych, i w zasadzie dla młodzieży. Chłopcy i dziewczęta, zamiast uczestniczyć w lekcjach szkolnych, bo poranki bywały w przeddzień świąt, szli z chęcią do Sokoła, uwolnieni od obowiązkowych zajęć. Program poranków przypominał akademię z tym, że nie obejmował jakiegoś przedstawienia na scenie.

Przyjemniejszy z obydwóch świąt był 3 Maja. Dzień rozpoczynał się wcześniej, jaśniej, bo wiosenne słońce stało już wysoko, zapachy rozkwitłych drzew i kwiatów, śpiew ptaków wywabiał z domów. Ciepła pogoda zachęcała panie i dziewczyny, aby pokazywały się na ulicach w lekkim odzieniu, w modnym nakryciu głowy, w zgrabnych bucikach. Toteż ten świąteczny dzień stawał się pokazem damskich ubiorów, czasem nowych, częściej przerobionych i odświeżonych, a zawsze przyjemnych dla oka. Tłumaccy panowie, młodszy i starsi, usiłowali nie ustępować w prowincjonalnej elegancji paniom.

W kręgu rodzinnym wyróżniało się święta państwowe lepszym obiadem, dodatkami do niego, ale nie sporządzano specjalnych wypieków jak np. na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Nie było też zwyczaju odwiedzania się wzajemnego, jak w wymienione uroczystości kościelne.

Najmocniej obchody świąt państwowych w Tłumaczu zapisywały się w świadomości i pamięci młodych uczestników. I przetrwały do dziś. Podczas gdy młode, niekresowe pokolenia, wychowane w PRL, podchodzą do tych świąt na ogół obojętnie, starsza generacja, ta przedwojenna, szanuje ich wyjątkowy charakter. Można się spodziewać, że tam, gdzie dzisiaj żyją tłumaczanie, ich domy 3 Maja i 11 Listopada tak jak to było w opuszczonym przed dziesiątkami lat mieście, są zdobione biało-czerwonymi flagami, a umysły i serca miłością Ojczyzny. □



# Koleją ze Stanisławowa w Karpaty Wschodnie

Stanisław Pelikan

Tą linią kolejową jeździłem niejednokrotnie z rodzicami do Jaremcza, Worochty, Tatarowa lub z wycieczką gimnazjalną ze Stanisławowa, kiedy to po 2,5 godz. jazdy wysiadało się na przystanku Żeniec, a stamtąd wędrowało górkami szlakami na Chomiak (1433).

W Jaremczu zawsze z zachwytem patrzyłem na ogromny kamienny wiadukt przerzucony pięknymi łukami przez rzekę Prut. Nieznana mi była wówczas pasjonująca historia budowy tego mostu jak i całej linii kolejowej.

W czasie okupacji pracując na węzłowej stacji Chryplin k. Stanisławowa skąd to linia odgałęziała się, miałem bezpośredni kontakt z ruchem pociągów na tej linii biegnącej ku granicy węgierskiej.

Ostatni raz jechałem tą linią w dniu 24 lipca 1944 r. w swojej wojennej tułaczce przez Węgry, Austrię, Czechy do Krakowa. Już nigdy nie miałem zobaczyć tej pięknej trasy w Karpatach Wschodnich i tego wspaniałego wiaduktu, przez który ostatni raz przejeżdżałem. Niedługo potem został on przez Niemców wysadzony.

Budowa tej linii kolejowej do granicy węgierskiej rozpoczęła się w 1891 r. pod kierownictwem inż. Stanisława Kosińskiego. Była to najtrudniejsza do zbudowania i najkosztowniejsza (9.470.827 zł. austr.) linia wśród gór, z dala od jakichkolwiek osad, ze 189 różnymi obiektami do wzniesienia. Była to najpiękniejsza z górskich linii w Polsce biegnąca od stacji Delatyn doliną Prutu, sklepieniami konstrukcjami mostowymi.

O jej budowie tak pisze w swoim raporcie inż. Stanisław Kosiński: „Z zakończeniem maja 1891 roku, będąc wtedy naczelnikiem sekcji konserwacji kolei państwowej w Nowym Sączu, otrzymałem z Generalnej Dyrekcji Kolei rozkaz natychmiastowego przybycia do Wiednia, gdzie polecono mi objęcie naczelnictwa nad mającą się utworzyć ekspozyturą dla trasowania i wykonania generalnego projektu linii ze Stanisławowa do Woronienki nad granicą węgierską.

Już 7 czerwca 1891 roku siedmiu funkcjonariuszy kolei państwowych i kilka do ćwiczenia przydzielonych oficerów c. k. Armii, stanęło w Delatynie, gdzie na razie rozbiliśmy namioty i rączo wzięliśmy się do pracy. W przeciągu tygodni dwóch liczba moich współpracowników doszła do maksimum, było nas trzynastu.

Teren był kompleksem dziewiczego lasu z jedną drożyną, po której konno tylko dostać się było można. Pracownicy nasi codziennie ze świtem wyruszali w górę na koniach aby około siódmej stanąć do pracy i aby po całodziennych trudach i znoju, wśród zdziczałych lasów, powrócić na posiłek i spoczynek.

Miesiąc styczeń, luty, marzec 1893 roku z powodu groźnej zimy użyteczne być mogły tylko do zwożenia materiałów. Na całej linii roboty dopiero w kwietniu rozpocząć się mogły i od razu rozwijać się zaczęły fundamenty wielkiego wiaduktu pod Jaremczem. W drugiej połowie maja rozpoczęły się jednak nadzwyczajne ulewę, a w czerwcu zamieniły się w katastrofę, wzburzone wody zniosły wszystko co dotychczas zbudowano.

Powodzie przeszły wreszcie. W końcu lipca liczba na całej linii zatrudnionych robotników dochodziła do ośmiu i pół tysiąca ludzi.

Tymczasem głuche już o cholery zjawiały się wieści. W pierwszych dniach sierpnia, wzdłuż linii z Węgier zawleczone zdarzały się wypadki, szczególnie pomiędzy południowymi robotnikami wywołały zaniepokojenie.

*Powstał ogólny popłoch i więcej niż połowa robotników opuściła swoje zajęcia. Personal budowy w chwilach nie-szczęścia wzorowo się zachowywał. Żonaci odesłali żony do domów, a sami wytrwali na stanowiskach.*

*Z początkiem 1894 roku na nowo praca zawrzała z całą siłą. Dnia 10 maja wreszcie w obecności głównego dyrektora budowy austriackich kolei państwowych radcy dworu pana Bischofklamsteina założono ostatni zwornik w tym sklepieniu, które w budownictwie sklepień epokę stanowiąc będzie.”*

Wzniesiony most w prawdziwie malowniczej okolicy był przedmiotem zachwyty dla jednych jako dzieło sztuki, dla innych nadto jako dzieło wiedzy inżynierskiej. Ten most kolejowy pod Jaremczem figurował później we wszystkich technicznych encyklopediach.

Na tej trasie wybudowano wśród wielu innych cztery największe mosty kamienne w Jamnej, Jaremczu oraz dwa w Worochcie, a także przebito trzy tunele. Projektantem tych mostów był inż. Zygmunt Kulka z Politechniki Lwowskiej.

Budowniczości pracowali w terenie gdzie nie było dróg i osad. Spotkały ich dwie powodzie i epidemia cholery. W tych warunkach ułożenie prawie stu kilometrów torów, mostów, wiaduktów, tuneli zajęło im... dziewiętnaście miesięcy. To był jeszcze jeden wymiar inżynierskiego osiągnięcia Stanisława Kosińskiego.

Pisze on dalej tak:

*„Dnia 2 października 1894 roku członkowie dyrekcji ruchu kolei państwowych ze swoim szefem Wierzbickim, jak też i członkowie kierownictwa budowy wybrali się pierwszym pociągiem do Woronienki.*

*Podróż odbyła się nie bez przeszkód, ale zwalczony przez okolo trzeciej po południu stanęliśmy na miejscu. Tam przy obficie zastawionym stole, boć gdzie zasiadają inżynierowie po mozolnie wykonanej pracy baterie z butelek wzmocnione być muszą, bez oficjalnego protokołu.*

*Ci którym dane było dokonać wielkiego dzieła oddali je w ręce dyrektora ruchu prosząc go i jego współpracowników o opiekę nad produktem ich trudu. I długo w noc mówiono i toastowano na ten temat, że pomysł wzniesienia tak niecodziennego obiektu wyszedł z kraju, że dzieło to zostało wykonane przez krajowych techników, którzy pracą swą niezaprzeczenie dobrze się zasłużyli nauce, państwu, krajowi i przyczynili się do uświetnienia i w tym kierunku, polskiego imienia oraz imienia Najjaśniejszego Pana”.*

Dnia 20 listopada 1894 roku oddano do ruchu wybudowaną linią Stanisławów (Chryplin) – Woronienka.

W roku 1917 kiedy wojska rosyjskie ustępowały z doliny górnego Prutu zniszczony został w lipcu tego roku grupowy filar mostu od strony stacji Jaremcze.

Most w całości odbudowany został w latach 1925-1928 wraz z jego pięknym 65-metrowym sklepieniem.

Niestety, jak już wspominałem na wstępie, w czasie II wojny światowej w lipcu 1944 roku został przez Niemców wysadzony i nigdy już nie odbudowany.

## Bibliografia:

1. J. Skurczyński, Rozwój sieci kolejowej pod zaborem austriackim, Inż. Kolejowy 1926 Nr 8-9
2. F. Turyn, Odbudowa 65 metrowego sklepienia ciosowego mostu nad Prutem w Jaremczu, Technik Kolejowy 1927 Nr 12, 1928 Nr 5
3. Kolej Najjaśniejszego Pana, TVP progr. 2 14.07.80 r. godz. 20.30
4. A. Rybicki, Koleje, które przecięły Karpaty Wschodnie □



# Święto Rarańczy

(Zapomniani bohaterowie II Brygady Legionów)

Edward Śniechowski

„Starych Ojców naszych szlakiem  
Przez krew idziemy w jutra wschody,  
Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem,  
Na śmiertelne idziem gody,  
By z krwi naszej życie wzięła,  
TA – CO JESZCZE NIE ZGINĘŁA,”

(Józef Mączka – „Legiony”)

Teraz, kiedy w Polsce i wśród Polonii świata budzi się na nowo i wzrasta mit o Marszałku J. Piłsudskim w Legionach, a przede wszystkim o I-szej Brygadzie, prawie nic się nie mówi o wyczynach i bohaterstwie II-giej Brygady Legionów, która też wyrąbała granice nowo tworzącego się Państwa Polskiego (specjalnie na kresach wschodnich).

Cofnijmy się teraz wspomnieniami do 1933 r. i zglądnijmy do mego rodzinnego domu w Tłumaczu, małym miasteczku na Pokuciu, na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Początek lutego – piękny ranek zimowy, pada obfity śnieg, który grubą białą warstwą pokrywa szybko wszystkie zabudowania gospodarskie. Dzieci przygotowują się do szkoły, ja – dziesięcioletni sztubak – i moje starsze siostry. Nagle w alei prowadzącej do domu, zjawia się jakaś postać, która już z daleka, brodząc z trudem po świeżym śniegu, wymachuje energicznie jakąś kopertą. To nasz ulubiony listonosz. Musi być coś bardzo ważnego, bo już z daleka krzyczy: Warszawa, list polecony. A któż to może pisać do nas z Warszawy? Nikogo przecież tam nie mamy z rodziny. Po chwili Mama, otoczona swoimi pociechami, otwiera drżącymi, spracowanymi rękami list i czyta: Warszawa, dnia 5 lutego 1933 r. ZAPROSZENIE

Po zapoznaniu się z treścią listu w pokoju zapanaowała grobowa cisza, aby za chwilę zamienić się w potężny harmider. My zapomnieliśmy o szkole, a biedna Mama musiała odpowiadać na niekończące się pytania: Kto pojedzie z Mamą do Warszawy na uroczystości przeniesienia zwłok jej Brata, a naszego Wuja? Czy spotka się Mama z kochanym przez nas wszystkich Komendantem? itd., itd. Dziewczęta już wybierały Mamie ewentualną garderobę, aby jak najgodniej wyglądać na tej wyjątkowej dla Niej uroczystości.

Po kilkudniowej rodzinnej deliberacji, jeden z moich starszych Braci, Adam, został wydelegowany, aby towarzyszyć Mamie do Warszawy.

Jak tam było, niech powiedzą i przedstawią w ilustracjach czasopisma i gazety z lutego 1933 r., cudem zachowane w naszej Rodzinie do dnia dzisiejszego. Przed chwilą wyciągnąłem je z naszej antycznej skrzyni:

- 1) „Ilustrowany Kurjer Codzienny” 21 lutego 1933,
- 2) „Na Szerokim Świecie” – 26 lutego 1933,
- 3) „Ilustracja Polska” – 26 lutego 1933.

# Święto Rarańczy

(Przedruk z: „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, Kraków, 21 lutego 1933)

Kraków, 17 lutego.

W piątek, w sobotę i w niedzielę odbędą się w Warszawie uroczystości związane ze świętem 15-lecia Rarańczy i uczczeniem 15-lecia czynów zbrojnych polskich organizacji wojskowych na Wschodzie. Protektorat nad uroczystościami objął Marszałek Piłsudski.

Program szczegółowy przewiduje w piątek o godz. 7 wieczorem akademię w sali Rady miejskiej, transmitowaną przez radio. W sobotę odbędzie się o godz. 9 rano nabożeństwo żałobne w kościele garnizonowym przy ulicy Długiej za bohaterów Rarańczy oraz wszystkich Legionistów i Peowiaków, poległych na Ukrainie i innych terenach Rosji. O godz. 11 odbędzie się pogrzeb na cmentarzu wojskowym na Powązkach zwłok śp. płk. Szula i kpt. Brandysa, sprowadzonych z Rosji, oraz przeniesienie do wspólnego grobu prochów mjr. Gniadego. O godz. 7.30 wieczorem przedstawiciele II brygady Legionów i P O W Wschód K N 3 złożą hołd Marszałkowi Piłsudskiemu w Belwederze. Późnym wieczorem odbędzie się raut. W niedzielę rano uczestnicy uroczystości złożą wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza, poczem odbędzie się akademii w

Koło Żołnierzy b.2.p.p.Leg.Pol.  
Warszawa, ul. Zakroczymska,  
ruchomym Wojskowe-Fort Legionów

Warszawa, dnia 5. lutego 1933 r.

## ZAPROSZENIE.

Zarząd Koła Żołnierzy b.2.p.p.Leg.Pol. ma zaszczyt zaprosić serdecznie Rodzinę ś.p.majora GNIADEGO Władysława, b.szefa Sztabu II.Brygady Leg.Pol., na uroczyste przeniesienie zwłok do wspólnego grobowca na cmentarzu wojskowym w Warszawie, które się odbędzie dnia 18.lutego b.r. o godz.9 rano z Kościoła Garnizonowego w Warszawie przy ulicy Długiej z okazji 15-letniej rocznicy przebiccia się II.Brygady pod Rarańczą.

Zarząd Koła wyraża gotowość ewentualnego pokrycia kosztów podróży przedstawiciela Rodziny.-



wiceprezes Zarządu Koła:

Dr. Stefanowski, p.k.rez.

sali Rady miejskiej. Popołudniu odbędą się obrady, a wieczorem galowe przedstawienie w operze. W uroczystym obchodzie 15-lecia Rarańczy weźmie również udział Związek Murmańczyków, który wzywa wszystkich, członków grupy murmańskiej do wzięcia czynnego udziału w obchodzie, a zwłaszcza w pogrzebie śp. Bronisława Szula, byłego szefa sztabu na Murmanie.



Śp. major Władysław Gniady

Śp. major Władysław Gniady urodzony w r. 1888 w Tłumaczu, gimnazjum ukończył w Kołomyi w r. 1908, a następnie studjował na politechnice we Lwowie. Od roku 1906 pracował w tajnych organizacjach niepodległościowych młodzieży wśród robotników, rzemieślników i włościan Małopolski Wschodniej, zaś po ukończeniu gimnazjum wstąpił do tworzących się drużyn strzeleckich we Lwowie – gdzie po ukończeniu kursu oficerskiego zajmował wybitne stanowisko w Komendzie Naczelnej, poświęcając się z zapałem studjom wojskowym. Niezależnie od pracy w drużynach strzeleckich był skarbnikiem tajnego funduszu im. Hetmana Żółkiewskiego we Lwowie.

Z chwilą wybuchu wojny światowej wyruszył wraz z drużynami strzeleckimi do Legionów Polskich, gdzie brał udział w organizowaniu 2 p. p. jako adjutant I. baonu. Z 2 p. piechoty przeszedł kampanię karpacką, bukowińską i wołyńską. Dnia 27-go listopada 1914 roku mianowany podporucznikiem, dnia 15 grudnia 1915 r. zatwierdzony jako adjutant pułku. Dnia 7 listopada 1915 r. ranny pod Bieligowem. Dnia 6 marca 1916 roku przydzielony na jeden miesiąc jako hospitant do I p. art. Dnia 1-go listopada 1916 roku mianowany kapitanem. W roku 1917 ukończył kurs oficerów Sztabu Generalnego w Warszawie, z wynikiem

wybitnym i jako jeden z nielicznych oficerów legjonowych został zaliczony w poczet oficerów Sztabu Generalnego jako szef sztabu II brygady leg. pol.

W dniu 15 lutego 1918 r. jako jeden z inicjatorów przejścia II Brygady przez front austriacki, przechodzi jako szef sztabu na Ukrainę. W II Korpusie Wschodnim pełnił specjalne funkcje polityczne jako delegat korpusu do armii rumuńskiej, dostał się na dwór króla rumuńskiego, gdzie przyczynił się i spowodował znaną deklarację przedstawicieli państw Ententy na dworze rumuńskim, w której to enuncjacji ambasadorowie Francji, Anglii, Włoch i Stanów Zjednoczonych oficjalnie uznali Niepodległą Polskę z dostępem do morza. Bezpośrednio przed bitwą pod Kaniowem wysłany został w specjalnej misji do Rady Regencyjnej w Warszawie, dowiedziawszy się, że korpus został rozбит i rozbity przez Niemców, poza tym zgnębiony niepowodzeniami swej misji w Radzie Regencyjnej i przemęczony fizycznie, zachorował na gripę, której wyniszczony przejściami o bardzo słabym sercu organizm przemieścić nie był w stanie i po trzech dniach zmarł w Warszawie.

15-lecie zerwania Legionów Polskich z Austrią. W dniu 9-go lutego roku 1918, kiedy już rozpadła się Rosja, a tak zwane „mocarstwa centralne” chciały jednak z kimś zawrzeć pokój na froncie wschodnim, w mieście Brześciu dyplomata hr. Czernin w imieniu Austrii i generał Hoffmann w imieniu Niemiec podpisali traktat pokojowy z Ukrainą. W traktacie tym dwaj zaborcy rozporządzili się kawałem ziemi polskiej (Chełmszczyzną) i przyznali go państwu ukraińskiemu, które – jak wtedy tak i teraz – było i pozostało fikcją. Traktat ten wywołał w Polsce najsilniejsze oburzenie. Rada Regencyjna w Warszawie wydała protestujące orędzie. W Rosji sformował się ostatecznie korpus polski, który stoczył zwycięskie walki z Rosjanami i z Niemcami, zdobywszy Mohylew, Smoleńsk i Witebsk. A z pośród legjonów polskich, walczących dotąd na froncie wschodnim w przymierzu z wojskami austriackimi przeciwko Rosji, dwa pułki „żelaznej brygady”, stojące koło miejscowości Rarańcza na Bessarabji, stoczywszy walkę z zastępującymi im drogę siłami austriackimi, przedarły się na drugą stronę frontu. Resztę legjonistów z tego oddziału, którzy ująć nie zdołali, Austriacy „wzięli do niewoli” i posłali do więzienia w obozach koncentracyjnych na Węgrzech w Marmarosze Sziget i Huszt. Wszystkie te czyny były stanowczym zerwaniem Polski, budzącej się już do niezależnego bytu, zarówno z Niemcami jak i z Austrią. 15-lecie tych wypadków, w szczególności 15-lecie walk pod Rarańczą, obchodzono obecnie w całej Polsce.

*W przedruku pozostawiono oryginalną pisownię. □*

## Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

### Trzy dni pod Lenino (12, 13, 14 październik 1943)

Wspomnienie napisała Janina Kubica – z d. Sokołowska, siostra chirurg. z 1-szego Samodzielnego Batalionu Sanitarnego 1-szej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

*Autorka z rodziną została wywieziona w 1940 r. na Sybir. Po trzech latach poniewierki na nieludzkiej ziemi udało się Jej wraz z matką wstąpić do 1-szej Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki pod dowództwem gen. Berlinga – formowanej na terenie Związku Sowieckiego (1943 r.). Przez całą wojnę służyła jako pielęgniarka w szpitalach polowych. Razem z matką przeszły cały szlak bojowy WP – aż do Berlina. Była świadkiem krwawej bitwy pod Lenino, która na trwałe boleśnie zapisała się w Jej pamięci.*

Redakcja



major Janina Sokołowska-Kubica

Na teren przyfrontowy dotarliśmy w przeddzień bitwy, późnym wieczorem. Teren, który nam wyznaczyli był zupełnie pusty – bez lasów i drzew. Dowódca Batalionu Sanitarnego kpt. Jerzy Sztachelski rozlokował nas opodal małej wioski (nazwy jej po tylu latach już nie pamiętam).

Przez całą noc rozbijaliśmy namioty. Przygotowywaliśmy sale operacyjne, salę szokową, lazaret i punkt segregacyjny dla rannych, których po opatrzeniu ran trzeba będzie wysyłać na zaplecze frontu – do szpitali przyfrontowych.

Salę operacyjne oświetlone były żarówkami podłączonymi do akumulatorów samochodowych, zaś inne namioty karbitówkami i świecami. O świcie rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Kanonada była tak ogromna, a huk armat grzmiał jak grzmoty. Z daleka widać było ogromne kłęby dymu. Czarna chmura podniosła się nad polem bitwy. Wszyscy żołnierze w Batalionie Sanitarnym patrzyli z przerażeniem i trwogą na

ten widok. Ja nie umiałam opanować swoich uczuć. Bałam się bardzo i cała dygotałam ze strachu, myślałam w ten czas: „Boże Świąty, nie umarłam z głodu i zimna na Sybirze, to tu zginę na pewno i to na początku mojej powrotnej drogi do Polski”.

Potem nastąpiła chwila ciszy i zaczęli napływać pierwsi ranni. Ciężko rannych przywozili samochodami, furmankami, zaś lekko ranni szli pieszo.

Przez trzy dni i trzy noce pracowaliśmy wszyscy w pocie czoła, bez odpoczynku, na salach operacyjnych i opatrunkowych. Straszne to były dni. Gdy śnialiśmy się ze zmęczenia podawano nam czarną kawę do picia lub wstrzykiwano podskórnie kofeinę.

Ja pracowałam jako siostra chirurgiczna z początku przy lekko rannych, a następnie przerzucono mnie na salę amputacyjną. Narkozę dawano się na maseczki z kilkuwarstwowej gazy. Zapach eteru i chlorku etylu był tak okropny, pomieszany z zapachem krwi, że po prostu zatykało oddech w piersiach. Żołnierze, którzy nam pomagali, często mdleli patrząc na rany, krew i śmierć. My żołnierze Batalionu Sanitarnego musieliśmy być wytrzymali, twardzi i odporni. Przyznam się, że było to naprawdę bardzo trudne zadanie bojowe. Do pomocy przysłano nam również żołnierzy z teatru dywizyjnego.

W drugim dniu bitwy nadjechał samochodem mój chłopiec Tadeusz Kubica. Przywiózł samochodem ciężko rannych. Był blady, zmęczony i poplamiony krwią. Mówił z wielkim przejęciem i nerwowo, że był na terenie 2-go pułku piechoty i tam został rozbity i spalony punkt sanitarny, są też ranni. Nie namyślając się długo wskoczyłam do szoferki samochodu i bez zezwolenia pojechałam z Tadeuszem na 1-szą linię frontu. Na miejscu miałam wrażenie, że trafiałam do piekła. Z nieba leciały bomby i jakieś żelastwa oraz waliły z każdej strony pociski armatnie. Koszmar! Ze strachu znów zeszytniałam, ale Tadeusz pogonił mnie do ładowania do samochodu rannych. Pomagali nam również lekko ranni żołnierze.

Nagle zobaczyłam psy. Miały one przywiązane nosze na kółkach. Podczołgiwały się do rannych, a oni gramolili się na nosze i psy transportowały ich do punktów sanitarnych. Zapatrzyłam się na tę pracę psów i zobaczyłam, że także zwierzęta nam pomagają. Potem dowiedziałam się, że te psy przekazali nam Rosjanie.



W ten czas właśnie dostałam odłamkiem w lewe ramię. Zabandażowałam krwawiącą ranę i wróciłam jak najprędzej samochodem do Bat. Sanitarnego. Dowiedziałam się tam, że mnie długo szukano. Wylężniona stanęłam jak by się nic nie stało przy stole operacyjnym. Operował wtedy dr Piwko – lwowiak – wspaniały chirurg-ortopeda. Zwymyślał mnie i zapytał gdzie szwendałam się tak długo i dlaczego jestem tak poplamiona krwią. Milczałam, a moja krew przesączała się przez mundur i biały fartuch. Bałam się przyznać, bo za taką niesubordynację groziła surowa kara. W końcu wszystko się wydało! Dr Piwko i kpt. Sztachelski byli wspaniałymi ludźmi. Zatrzymali to w tajemnicy. Nie operowali mnie lecz zrobili tylko uciskowy opatrunek. Jak się okazało odłamek, który był w kości, przylegał także do tętnicy, taka operacja w warunkach polowych była niebezpieczna. Odłamek usunięto mi dopiero po wojnie w Warszawie, operował sam prof. Gruca.

Moja matka dowiedziała się w kwatermistrzostwie Dywizji od żołnierzy, że widzieli mnie na polu bitwy i mówili jej: „na pewno ją zabili, tam uratować się jest trudno, Niemcy bombardują bez przerwy, a od samolotów aż czarno”. Moja mama z rozpaczy dostała szoku, krzycząc i bez przepustki, na pieszo dotarła aż do Batalionu Sanitarnego. Zrozpaczonym głosem krzyczała i głośno płacząc wołała: „Gdzie moja córka, gdzie moje dziecko, pokażcie mi ją, pokażcie czy żyje”.

I wtedy wszystko się wydało, kłamstwo wyszło na jaw. Wszyscy w wojsku wierzyli mi, gdy mówiłam, że to moja starsza siostra. Jadąc do wojska polskiego nie chciałam mojej matki zostawić na Sybirze, więc odjęłam jej 10 lat, tak ażeby i ona dostała powołanie do wojska. Cały Batalion Sanitarny dowiedział się prawdy, że jestem córką Pauliny Sokołowskiej. Kpt. Sztachelski rozczulił się bardzo i zatrzymał moją mamusię w Bat. Sanitarnym do końca wojny. Matka moja była szczęśliwa, troszczyła się o mnie i także bała i pilnowała na każdym kroku! Pozostała nadal siostrą, ale dla wszyst-

kich rannych. Powracam do wspomnień trzeciego dnia bitwy pod Lenino. Dzień był pogodny i słoneczny. Wielu jeszcze rannych leżało na noszach, jęczało z bólu i oczekiwało w kolejce na operacje. W pewnym momencie na sali w namiocie powstała cisza, spojrzałam i co widzę? Sanitariusze wnoszą na noszach moją koleżankę Belcię Szpinak ciężko ranną. Leżała na brzuchu, a całe plecy i pośladki były poranione we krwi. Na ten moment wszedł kapelan ks. Kupsz przez wszystkich bardzo lubiany i powiedział „O Boże, do czego to doszło na tej wojnie – dziewczyna obnażona wśród tyłu żołnierzy”. Podszedł do niej, pobłogosławił i chciał udzielić ostatnich namaszczeń. Ona jednak powiedziała: „ale ja jestem Żydówką”. Ksiądz odpowiedział: „Boga mamy jednego”. Ks. Kupsz w bitwie pod Lenino szedł z żołnierzami w pierwszej linii z krzyżem w rękę wzniesionym w górę.

Nad naszymi namiotami latała bez przerwy tzw. „Rama”. Był to samolot niemiecki – zwiadowczy. Przeszkadzał nam w pracy i denerwował wszystkich. Niepokoił się, ale dalej pracowaliśmy w pocie czoła.

Gdy się zciemniło nad naszymi namiotami zawisły w powietrzu rozświetlające nasz teren rakiety i wyglądały jak ogromne żyrandole. Był to widok i piękny i groźny. Kpt. Jerzy Sztachelski, który w porę zorientował się w sytuacji w jakiej jesteśmy, wydał rozkaz przeniesienia punktu sanitarnego w inne miejsce postoju o parę kilometrów dalej. Niemcy z równą wściekłością, taką jak w 1939 r. bombardowali nasze miasta i wsie – tak i wten czas zbombardowali miejsca przez nas poprzednio zajmowane. Rankiem, gdy powróciliśmy na to miejsce, były tylko głębokie leje i zorana pociskami ziemia.

Niemcy nie oszczędzili nawet cmentarza, gdzie chowaliśmy naszych zabitych żołnierzy.

Po powrocie musieliśmy ich po raz drugi pochować. Był to straszny widok, który do dzisiaj pozostał mi w pamięci. □

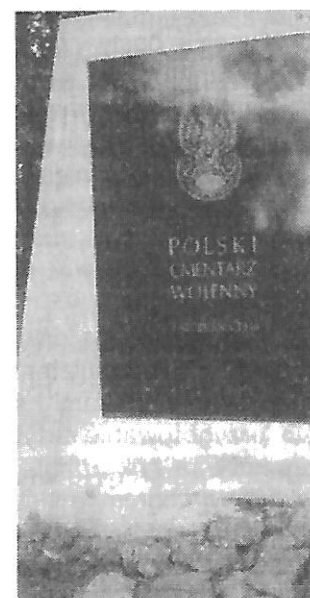
Z ostatniej chwili! Przedstawiamy opinię ks. St. Draguły z art. pt. „**Lenino – zapomniana nekropolia polskich żołnierzy**” zamieszczonego we Wrocławskiej Gazecie Polskiej – październik 2001 r.

Przyjechaliśmy pod Lenino. Wrażenie przygnębiające! Z jednej strony wzgórze, na którym znajduje się muzeum, a z drugiej całkowicie zaniedbany cmentarz, na którym pochowani są polscy żołnierze. Pomiędzy wzgórzem a cmentarzem jest dolina. Podmokły teren porośnięty jest krzewami. Patrząc na topografię terenu, uświadamiamy sobie przebieg bitwy nazywanej „chrztem bojowym armii polskiej w ZSRR”. Żołnierze polscy mieli do przebycia nie tylko tę dolinę, ale również biegnącą środkiem rzeczka Miereję. W książce „*Polacy pod Lenino*” Włodzimierz Sokorski, który był „politrukiem”, napisał, że Polacy wykonali swoje zadanie, ale nie wspomina o błędach dowództwa, o braku wsparcia artyleryjskiego i o tym, że oddziały Armii Czerwonej, po obu stronach wojsk polskich pozostały w tyle.

W czasach PRL nie pamiętano o wielu innych cmentarzach żołnierzy polskich na świecie. Na pierwszym miejscu było Lenino. Jeżeli ktoś uważa, że obecnie można sytuację odwrócić i traktować cmentarz pod

Lenino „po macoszemu”, to trzeba stanowczo przywołać go do porządku i nie dopuścić do tego, aby cmentarz ten był zapomniany. Należy go traktować tak, jak cmentarz w Katyniu, który w ostatnich latach został zbudowany. (...)

Zwracam się więc z apelem do kapelanów Wojska Polskiego o wyposażenie obydwu nekropolii w parametry liturgiczne potrzebne do odprawiania Mszy św. Pielgrzymki do Katynia nie powinny omijać cmentarza pod Lenino. To jest przecież polski cmentarz! □



## Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Kiedy mieliśmy się rozstać – powiedział: „chcę z wami jeszcze pogadać, ale czy prawda, że wy „pomieszczyk”?”. Wiedziałem, że on pochodzi z Kurlandii. Odpowiedziałem: „tak, jestem pomieszczyk, a wy – strzeliłem – jesteście baron kurlandzki”. „od kudy znajete?” Odpowiedziałem: „odgadłem”. Rozeszliśmy się do swoich robót. Od tego czasu zostałem na stałe „rulirowszczykiem” i tylko wtedy kiedy nie trzeba było siać przydzielano mnie do innej roboty. W kilka dni potem wyznaczono mnie wraz z dwoma młodymi pomocnikami do zasiania jęczmienia. Sialiśmy bez agronoma. Moi pomocnicy typowi chuligani, cały czas operowali ordynarnymi wyrazami, a podczas pracy, po każdym nawrocie siewnika, siadali paląc papierosy (perekurka) albo gadali, a robota stała. W pewnym momencie zobaczyłem, że w naszą stronę pędzi dwukółka zaprzęgnięta w jednego konia. Moi towarzysze nie widzieli tego, zerwali się jak już dwukółka była blisko, ale to było już za późno. Z dwukółki wyskoczył Majboroda, zastępca naczelnika obozu. Przyskoczył do nas i krzyknął: „Czemu nie robicie”, na to jeden z pomocników powiada: „My chcemy pracować, ale „pan” nie chce” i wskazał palcem na mnie. Majboroda uderzył go nahałem po plecach i powiedział: „wriosz” – kłamiesz, ja pana obserwuję od dawna, to dobry pracownik, a wy obydwaj „swołoczy”. Już ja was ukarzę.” Zwrócił się do mnie i powiada: „a wy zgłóście się wieczorem do mnie i powiedzcie czy nie mieliście jakich przykrości od tych swołoczy”. Wśród agronomów była Gruzinka w średnim wieku, a z nią dużo młodsza, obie bardzo piękne. Pewnego razu kiedy obchodziły służbowe stanowiska pracy przystanęły przy mnie, a pracowałem wówczas sam, i zaczęły pogawędkę. Wiedziałem, że są z bogatej rodziny, gdyż raz słyszałem jak rozmawiały po francusku. Pytały mnie o Polskę. W czasie rozmowy powiedziałem im: „musicie być dumne z tego, że wasz rodak Stalin rządzi całym ogromnym państwem”. Starsza powiedziała: „Ale nie możemy być dumne, że nasz rodak wpędził tyłu Gruzinów do obozów i więzień”. W obozie znałem jeszcze jednego starszego, przystojnego Gruzina. Zajmował się cały dzień wyłącznie gotowaniem wody na „kipiatok”. Jego obowiązkiem było wydawać kipiatak wszystkim, kto się tylko zgłosi. Miał do tego celu dwa parniki, jak jeden się kończył wydawał z drugiego, a pierwszy napełniał wodą i znowu ogrzewał. Był zawsze pogodny i uprzejmy. Pewnego dnia podjechał do mnie konno naczelnik obozu. Z daleka widać było, że kieruje się do mnie, a łatwo mnie było rozpoznać, gdyż miałem bułanego konia, a drugiego takiego nie było. Podjechał blisko i zapytał: „Czym zaniemajety sia”, odpowiedziałem, że bronuję kukurydzę, która ładnie powschodziła. Powiedział, że od dawna mnie obserwuje, a poznaje mnie po bułanym koniu. „Muszę wam jakąś nagrodę przyznać, bo dobrze się z końmi obchodzicie i robota wam idzie”. Na tej obietnicy się skończyło, żadnej nagrody nigdy nie dostałem. Tą codzienną ciężką pracą tak się zmarnowałem, że ledwo trzymałem się na nogach. Pomianowski powiedział mi, żebym się zgłosił jako chory, a on z lekarką przedtem pogada, aby mi dała na dwa dni zwolnienia. Poszedłem do lekarki i dzięki Pomianowskiemu dostałem zwolnienie. W ziemiance wylegiwałem się z rozkoszą przez dwa dni. Muszę dodać, że Pomianowski miał wówczas ogromne fory u naczelnika. Mianowicie, naczelnik wiedział z papie-

rów, że Pomianowski jest majstrem powozowym. Kazał go zawezwać do kancelarii i zaproponował mu zrobienie bryczki. Obiecał mu dostarczenie materiałów, jakich będzie potrzebował i pomocników: kołodziei, kowali i ślusarzy. Kazał mu zrobić rysunki pojazdów. Pomianowski wyrysował dwa modele dwusiedzeniowych, ale to się naczelnikowi nie podobało. Wtedy Pomianowski powiedział, że narysuje jeszcze inny powóz, ale nie wie, czy materiałów, jakie będą potrzebne, dostarczy mu naczelnik. Naczelnik kazał wyrysować. Pomianowski porobił rysunki, z wyliczeniem wymiarów i doręczył naczelnikowi, któremu rysunki bardzo się podobały. Potrzebne było drzewo jesionowe, żelazo na okucia, stal na resory, skóra na budę oraz lakiery. Ze skóry trzeba było od razu zrezygnować, a zastąpić ją brezentem. Naczelnik tak się do tego zapalił, że wysłał następnego dnia Pomianowskiego, oczywiście pod eskortą, do Dolinki. Dolinka było to miasteczko centralnie położone, a wokół tego miasteczka znajdowały się obozy karne, a było ich dużo. W tej to Dolince miał Pomianowski wybrać potrzebne mu materiały. Pomimo że był zaopatrzone w odpowiednie pisma, niewiele przywiózł. Dostał suchy jesion i brezent. Reszty szukał w złomie w kilku obozach wyjmując żelazo i stal z zepsutych maszyn rolniczych. Największy kłopot mieli ze stalą na resory, ale wreszcie i to się znalazło. Pomianowski objął kierownictwo warsztatu. Rozdawał robotę kołodziejom, kowalom i ślusarzom. Był wymagający i uparty. Wszyscy słuchali go bez szemrania, bo naczelnik przychodził dwa razy dziennie oglądać robotę. Następnego dnia po mojej chorobie przydzielono mnie baronowi kurlandzkiemu. Kazał mi zaprząć do wozu. Na wóz włożyliśmy znacznik (marker) i pojechaliśmy w step. Tam pojechaliśmy do uprawionego dużego pola, a po drodze porozmawialiśmy o różnych zagadnieniach. Baron znał literaturę niemiecką i rosyjską, nie narzucał swego zdania i zachowywał się jak człowiek o dużej kulturze. Na polu zdjęliśmy znacznik. Wyprzęgłem jednego konia i wprzęgnąłem go do znacznika. Zapytałem, co tu będzie rosło, odpowiedział, że melony i kawony i że on się tym będzie zajmował. Powiedział, że w Kazachstanie rosna i dojrzewają wspaniałe kawony i melony, pomimo krótkiego czasu wegetacji. Dodał, że jak tylko będą dojrzewać to mi przywiezie. Wyznaczyliśmy prostą linię i zaczęliśmy pracę. Od razu powiedział: „Ze względu na to, że jesteście osłabieni, prowadźcie konia, a ja będę prowadził znacznik.” Pracowaliśmy powoli rozmawiając ze sobą. Do przerwy południowej pole było wzdłuż poznakowane. Po południu poznażyliśmy w poprzek tak, że powstała równa szachownica, na której następnego dnia miano wysadzać ziarno.

Ruszyliśmy następnego dnia kilkoma wozami obładowanymi sprzętem i kobietami, które miały sadzić kartofle. Po przejechaniu około 10 kilometrów zobaczyliśmy czworobok namiotów postawionych w polu. Tu kazano nam stanąć, wyładować sprzęt i zakwaterować się w namiotach. Konie wyprężone przywiązaliśmy do wozów. Namioty były na 10 osób i tyle w namiocie było sienników. Przybyliśmy w południe, więc tamta załoga była przy posiłku. Dokwaterowano mnie do namiotu, w którym było kilku ludzi. Pozdrowiłem ich „zdrastwujte” i złożyłem swoje koce i rzeczy na jednym z sienników. Jeden z obecnych w namiocie zwrócił moją uwagę.



Jego twarz była poważna, w rogowych okularach, nie pasował do reszty młodych chuliganów. Po chwili powiedzieliśmy już o sobie, że jesteśmy Polakami. On nazywał się Adamus, pochodził ze Stanisławowa, a aresztowany był w Wilnie, gdzie był docentem na Uniwersytecie i wykładał prawo. Umiał dobrze po rosyjsku. Zawołano nas do pracy. Ja i jeszcze jeden furman z naszego obozu zaprzęgliśmy cztery konie do ciężkiego pługa i wyjechaliśmy na pole za namiotami. Polem było ściernisko niezaorane w jesieni. Obecnie sadzono na nim ziemniaki sposobem przestarzałym, tzw. „za pługiem”. Najpierw idzie pług, odwala skibę, a w połowie tej skiby układają robotnice ziemniaki, potem znowu odwala się jedną skibę, nakrywa ziemniaki, a potem daje się jeszcze jedną skibę i znowu układa się ziemniaki. W ten sposób można ziemniaki sadzić na polu o pewnej kulturze. Tutaj ziemia twarda jak skała i sama orka fatalnie nam szła. Ja popędzałem konie, a mój współtowarzysz prowadził pług. Konie kręciły się, wyłaziły z bruzdy nie mogąc uciągnąć pługa w twardej ziemi. Skiba była raz głębsza, raz płytsza, a przy tym krzywa. Nikt z dozorujących nie zwracał na to uwagi, popędzano tylko, aby sadzić prędeż. Po drugiej stronie pola leżały w nieładzie worki z ziemniakami. Ponieważ ziemniaki były bardzo duże, przecinano je na pół, a nawet na trzy części; tam pracował Adamus. Miałem na sobie marynarkę bardzo zniszczoną i spodnie, tzw. pumpy, z bardzo dobrego materiału. Słyszałem już w naszym obozie, jak kobiety między sobą mówiły, że z tych spodni można by razem uszyć ładną spódnicę. Następnego dnia w południe miałem jak zwykle konia napoić. Tutaj w polu wsiadało się na konia i wjeżdżało się do małego stawku niedaleko namiotów prowadząc drugiego konia za uzdę. Ponieważ nie miałem siły na konia wskoczyć – podprowadziłem go do wody i z wozu wskoczyłem na konia. Pojechałem do stawku prowadząc drugiego konia za uzdę. Dzień był upalny, kiedy konie były w wodzie, mój Arknicha, na którym siedziałem zaczął gwałtownie nogą grzebać, a potem nagle położył się. Wpadłem do wody i zmoczyłem się kompletnie. Po przerwie poszedłem orać, ale ubranie tak mi ciążyło, że zdjąłem marynarkę i spodnie i rozwiesiłem na krzakach, aby wyschły. Pracowałem w bieliźnie, a moją odzież miałem ciągle na oku. Wieczorem, jak zjeżdżaliśmy z pola, poszedłem po ubranie. Spodnie były skradzione i nigdy się nie znalazły, została tylko marynarka. Jakaś kobieta, prawdopodobnie z obcego obozu miała z nich później spódnicę. Następnego dnia pracowałem w bieliźnie. Byłem tak osłabiony, że już koni napoić nie mogłem. Zrobił to za mnie inny furman. Kiedy szedłem do kotła po obiad, upadłem i zemdląłem. Zawołano sanitariuszkę, która dała mi zastrzyk i ocuciłem się. Myślałem, że dadzą mi odpocząć. Nic podobnego. Zmieniono mi tylko pracę. Polecono mi krajać ziemniaki, a młody więzień, wziął moje konie. Siadłem obok Adamusa i przecinałem ziemniaki bacząc, aby w każdym kawałku było oczko. Adamus ciął każdy ziemniak na czworo, bez względu na to, czy było tam oczko czy nie. Agronomka, która tej roboty pilnowała, zwracała jemu i kilku innym na to uwagę. Nie pomogło to nic, bo pracowało się na akord. Każdy musiał zrobić 10 kwintali, więc spieszył się i robił byle jak. Kilka dni przepracowałem przy krajaniu ziem-

niaków i patrzyłem jak konie i ludzie męczą się przy tym sadzeniu. Powiedziałem Adamusowi, że chciałbym te ziemniaki widzieć w jesieni przy wykopkach, bo jestem pewny, że z nich nic nie będzie. Po kilku dniach pole było zasadzone, mogliśmy odjechać do naszego obozu. Kiedy wróciliśmy, naczelnik polecił wydać mi spodnie. Otrzymałem płócienne zafarbowane na granatowo. Ponieważ byłem bardzo osłabiony, dostawałem, aż do odwołania, na kolację dodatkowo kawałek chleba. Dnia 22 czerwca wracałem wieczorem z pracy prowadząc konie. Naprzeciw szedł jakiś człowiek i dawał jakieś znaki. Poznałem w nim Gruzina, który gotował kipiatak. „Ty wiesz” powiada do mnie, „jakie nieszczęście spadło na nas, Niemcy zaatakowali nas bez wypowiedzenia wojny”. Klepnął mnie po ramieniu i przymrużył oko. Nie chciałem początkowo wierzyć, że ci dwaj serdeczni przyjaciele, Hitler i Stalin, pobili się, ale w obozie już szumiało. Usłyszeli to w domu administracyjnym przez radio i już nie dało się utrzymać w tajemnicy. Wieczorem tego samego dnia przyleciał do mnie stajenny Niemiec. Wywołał mnie z ziemianki i powiada: „Żebyś się nie ważył do mnie teraz mówić po niemiecku”. A ja mu na to: „wszystko zależy od ciebie, będziesz się zachowywał przyzwoicie, będę mówił po rusku, a jak będziesz świnią, będę mówił po niemiecku”. W stosunku do mnie tak się zachowywał, że nie miałem powodu mówić do niego po niemiecku. W kilka dni po tych wydarzeniach ruszyło 6 wozów pod konwojem do Karagandy po materiały na rozbudowę obozu. Karaganda leżała o jakieś 50 km od naszego obozu, więc była to wyprawa na dwa dni. Trzeba było zabrać koce i wyfasowany suchy prowiant. Ruszyliśmy wczesnym rankiem drogami polnymi, w tej porze roku były ujeżdżone i gładkie. Mój wóz szedł w środku konwoju. Konie moje bez popędzania trzymały się furmanki, która nas wyprzedzała. Kiedy stwierdziłem, że trzymają się drogi i reszty konwoju, zawiąłem się w koc, a wiązka siana, która była przeznaczona dla koni poszła pod głowę i zasnąłem. Zbudziłem się, kiedy konie stanęły. Staliśmy na placyku wśród jakiejś wsi, a było już południe. Trzeba było konie napoić i nakarmić. Staliśmy niedaleko domu, w którym była studnia. Ciągnęliśmy wodę kołowrotem i nosiliśmy koniom dwoma wiadrami zabranymi z domu. Wioska składała się z kilku zaledwie domów, a jej mieszkańcy to Kazachowie. Jest to naród azjatycki. Mężczyźni są średniego wzrostu, kolor włosów mają czarny, cerę śniadą, oczy skośne, barczyści na pałąkowatych nogach. Nie szukali z nami kontaktu, nikt do nas nie podchodził, nawet dzieci trzymały się z daleka. Kiedy konie były napojone, wyspaliśmy im obrok i część więźniów za zezwoleniem konwojentów rozeszła się po chatkach chcąc nabyć mleka lub jaj. Ja zostałem przy koniach, bo nie miałem za co kupić szklanki mleka. Po godzinie wrócili. Niewielu z nich udało się coś kupić, a co kupili to zjedli na miejscu. Zakielznaliśmy konie, poprawili uprzęż i ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja byłem wyspany i wypoczęty, więc oglądałem okolicę. Były to rozległe stepy przecięte gdzieniegdzie jarami zarośniętymi niskimi krzewami. Droga była monotonna, ale przyjemnie było jechać szerokim stepem, odpoczywać i myśleć o swoim zupełnie odmiennym kraju. Zbliżaliśmy się do Karagandy, miasta jakby powiatowego, składającego się ze starej i



nowej Karagandy. Stara to chaty, jakie widzieliśmy na stepie, nowa to oddzielnie położona dzielnica nowych domów, przeważnie dwupiętrowych z dużymi oknami. Na ścianach widać było duże zacieki, a nawet odpadnięty tynk. Skutki stachanowskiej roboty. Przed tymi budynkami pole zasiane lucerną, a w środku tego pola duży pomnik Stalina z wyciągniętą ręką, tak jakby mówił: „daj chleba”. Miał to być centralny plac nowej Karagandy. Przejechaliśmy starą i nową Karagandę i tam wjechaliśmy na obszerny skład drzewa. Wozy i konie stanęły na środku placu, a my wyprzęgliśmy konie i napełniliśmy je z pompy będącej na placu. Był już wieczór. Zjedliśmy chleb z jakimś tłuszczem i dostaliśmy w kantorze gorącą wodę, „kipiatok”. Położyliśmy się spać na ziemi, a konwojenci zmieniając się pilnowali nas całą noc. Rano zaczęło się ładowanie ciężkich belek na wozy. Niewiele mogłem w tym pomóc, ale pięciu innych furmanów, sami młodzi, dawali sobie z tym radę. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Siedzieliśmy na belkach i nie można się było już położyć. W południe zatrzymaliśmy się w tej samej wiosce kazachskiej, a na wieczór byliśmy już w łagrze. Tymczasem powóz, który budował Pomianowski, był na ukończeniu. Pudło było już umieszczone wraz z resorami na kółkach. Nie wykończone były jeszcze siedzenia i wachlarze. naczelnik przychodził codziennie, oglądał robotę i popędzał. Powóz i tak był bardzo szybko budowany, Pomianowski rozdzielał robotę i sam jej pilnował. W polu ogromny łan zaczęliśmy kosić. Ja zaprzęgam wraz z innymi furmanami konie do kosiarek. To, co my w jednym dniu zdołaliśmy wykosić, inni następnego dnia grabili, a kobiety robiły kopki. Upał był taki, że w jednym dniu siano wysychało i można je było składać w sterty. Jak tylko ukończyliśmy koszenie, kazano nam zaprzęgać do wozów i zwozić wysuszoną lucernę do stert. Była to w tym upale praca ponad moje siły. Kiedy wróciłem i oddawałem konie do stajni, powiedziałem stajennemu; „Rób co chcesz, ale do siana mnie nie posyłaj”. A on: „Co ja tu z tobą zrobię? Ale zaczekajmy do rana, może coś się zdarzy.” Następnego dnia rano podszedł do mnie stajenny i powiada: „Mam dla ciebie lekką robotę. Komendant NKWD ma dzisiaj odprawę w Dolince. Odwieszysz go i wypoczniesz.” Zaprzęgam konia do wozu, zrobiłem siedzenie ze słomy i czekałem. Przyszło dwóch ludzi: komendant, chudy, wysoki, chory zdaje mi się na żołądek i drugi, młody z karabinem do pilnowania mnie podczas pobytu komendanta na odprawie. Pojechaliśmy do tej Dolinki, która była centralnym punktem wszystkich łagrów w tym rejonie i z której wychodziły wszystkie polecenia dla naszych naczelników. Pojechaliśmy drogą gruntową, bardzo dobrze ujeżdżoną o tej porze roku. Po drodze mijaliśmy kilka obozów i masę ogromnych pól zasianych

rozmaitymi zbożami i uprawami. Były tam pola zasiane owsem, ogromne kompleksy słonecznika i kukurydzy. Moi enkawudziści rozmawiali ze sobą. Tylko ten młodszy wskazywał mi drogę do Dolinki. Jechałem po raz pierwszy i drogi nie znałem. Dolinka to nieduże miasteczko, w którym przeważają liczne biura zajmujące się obozami, ponadto magazyny i warsztaty, w których zatrudniani są więźniowie. Wjechaliśmy na plac, na którym stało kilka fur zaprzęgniętych w konie. Były też zaprzęgnięte w woły i wielbłądy. Mój komandir zaraz się oddalił, a konwojent, młody żołnierz, najpierw mnie pilnował, a potem nakazał mi, abym się nie oddalał i także się ulotnił. Ja dałem koniom siana, trochę się rozglądałem, a potem porządnie przespałem. Moi opiekunowie zjawili się przed czwartą. Miałem już konie zakielznane, więc zaraz ruszyliśmy. Jechałem drobnym truchtem, aby za prędko do obozu nie dojechać, gdyż mogli dać jeszcze jakąś robotę. Moi opiekunowie widocznie także się nie spieszyli, siedzieli na tylnym siedzeniu i drzemali. Wyglądało tak, jakby sobie dobrze z butelki pociągnęli. Znając już drogę, jechałem bez wskazówek, rozglądałem się na wszystkie strony. Kiedy jechałem wzdłuż pola zasianego owsem, przez które przechodził kanał nawadniający, zobaczyłem tuż koło drogi Polańskiego, który majstrował coś przy śluzie. Poznał mnie od razu i podniósł rękę do góry. Wstrzymałem konie, myślałem, że da się choć parę słów zamienić, ale moi konwojenci przebudzili się i młodszy zapytał, co się stało? Odpowiedziałem, że spotkałem znajomego. Wyglądało na to, że nie byłby się sprzeciwił naszej rozmowie, ale ten chudzielec, komandir, od razu się rozwrzeszczał, więc musiałem ruszać. Z Polańskim rozstaliśmy się przed rokiem, w więzieniu kijowskim, więcej go w życiu nie zobaczyłem. Do obozu zdążyliśmy akurat na kolację. Prace w polu piętrzyły się, bo zboża zaczęły dojrzewać, a tymczasem na wszystkich frontach wrzała walka. Teraz nie otrzymywaliśmy żadnych wiadomości. Surowo zostało zabronione, żeby więźniowie nie dowiedzieli się, że Rosjanie wszędzie ponoszą klęski. Wódz naczelny Woroszyłow dobry mógł być w czasie rewolucji, ale nie w walce z Niemcami, którzy mieli tradycje dobrych dowódców. Ja dowiadywałem się wielu rzeczy od Pomianowskiego, który korzystając z wielu przywilejów zdobywał te wiadomości. Żniwa się rozpoczęły. Z poletek doświadczalnych trzeba było zbierać plony bardzo umiejętnie, aby odmian nie pomieszać. Jeździłem codziennie ze żniwiarką, która bardziej do kosiarki była podobna, z dwoma pociukami (?) albo pomocnicami, aby dokonywać zbiorów. Ziarenka były zupełnie dojrzałe i twarde. Łuskaliśmy je i jedli cały dzień podczas roboty.

(c.d.n.)

## Ze wspomnień małolata (c.d. – IV)

Tadeusz Bodniak

Front tego odcinka zatrzymał się na dwa tygodnie w Tyśmienicy na przedpolach Stanisławowa i zaledwie 15 km od Tłumacza. Toczyły się tu przez cały ten okres ciężkie i wyniszczające walki. Nocą widoczne były roz-

bliski wybuchów pocisków i bomb. Tłumacz stał się bazą zaopatrzeniowo-wypoczynkową na potrzeby frontu. Miasto narażone więc było w każdej chwili na ataki lotnictwa niemieckiego, a jego mieszkańcy na nocne

burdy rozpijaczonych żołnierzy frontowych wymieniających się oddziałów.

Z tych też względów, zabierając tylko osobiste rzeczy i pościel, chwilowo zamieszkaliśmy w gospodarstwie Pana Janickiego w Łokutkach, nad rzeką Tłumaczyk, u podnóża ciągnącego się wzniesienia z licznymi grotami i szczelinami skalnymi. Jedna z takich grot służyła nam przez kilka nocy jako „sypialnia”, do której o zmroku w konspiracji udawaliśmy się na spoczynek. Widok jaki roztaczał się z wejścia do naszej kryjówki na przedkarpacką dolinę od południa po wzniesienie pałahickie na północy, pokryte bujnymi lasami i kolorowymi pasmami pól był przeuroczy. Nocą zaś docierające odgłosy frontowego kotła i rechot żab z tłumackiego stawu tworzyły dziwną symfonię wzbogaconą warkotem niemieckich samolotów transportowych dostarczających sprzęt i zaopatrzenie oddziałom Wehrmachtu okrążonym w okolicach Tarnopola. Po kilku nocach tu spędzonych niczym jaskiniowcy, względny spokój i bezpieczeństwo nasze przerwane zostało spalaniem zagrody i dobytku p. Janickich przez miejscowych Ukraińców nacjonalistów. Wydarzenie to zmusiło nas do powrotu do naszego miejsca zamieszkania w Tłumaczu, jak się okazało na kilka zaledwie dni. Niemcy wszczęli kontrofensywę od strony Stanisławowa. Ojciec mój wraz z St. Petrusiem, Wilusiem Kłonowskim, p. Tabińska z córkami i innymi tłumaczanami w obawie przed Niemcami dzień wcześniej opuścił miasto udając się na emigrację w okolice Czerniowiec.

Pod wieczór pojedyncze katusze ziejąc ogniem wzniecały pożary na okolicznych wzgórzach Popielowa. Psychoza strachu opanowała ludność cywilną podejmującą często nieracjonalne decyzje. Po nocnej strzelaninie wczesnym rankiem Pan Zajączkowski, u którego mieszkaliśmy przy ul. Grunwaldzkiej, zaprzął konie do wozu, załadował swoją rodzinę i nas i „co koń wyskoczy” zaczęliśmy ucieczkę z miasta ulicą Piłsudskiego i Jagiellońską, przy której widoczne były ślady zniszczeń po nocnych ostrzałach. Przy aptece leżała martwa kobieta. Wojska rosyjskie w panice i popłochu cofały się w kierunku Horodenki. Pod nękającym działaniem lotnictwa dotarliśmy na przedpola wsi Gruszka kryjąc się w niewielkim wąwozie. Nad nami szalały myśliwce niemieckie i przelatujące pociski. Około południa na polach rozległej doliny ukazali się niemieccy żołnierze z podwiniętymi rękawami, w hełmach i z bronią gotową do strzału. Groźny to był widok w oczach małolata. Odgłosy działań wojennych docierały od strony Obertyna i wzgórz Jezierzan. Po południu przełknięci wróciliśmy do domu. Odczułem dziwną pustkę – zostałem tylko z matką i dwiema 5-letnimi siostrami. W bezsenną noc wiele rozmyślałem o ojcu i przeżyciach minionego dnia. W następnych dniach nasze skromne zapasy art. spożywczych szybko się wyczerpały. Przenieśliśmy się więc chwilowo do babci do Pałahicz. Wieś naszpikowana była dużą ilością wojsk niemieckich. Zajmowali domy, podwórka i ogrody, na których budowano pośpiesznie bunkry i umocnienia. Z radiostacji zainstalowanych na ciężkich samochodach przez całą dobę słychać było płataninę rozmów i meldunków z linii frontu odległego o około 40 km na wschód od Tłumacza. Jedno z pomieszczeń domu naszego zamieszkania zajęte zostało przez oficera sztabowego w

randze majora. Często przyglądał się i uśmiechał do nas (do mnie i moich siostr) jakby swoimi myślami był przy pozostawionych dzieciach w rodzinnym Wiedniu. Czuliśmy się bezpieczni mimo zakłócanych nocy przez radziecki „kukuruźnik” nękający wieś zrzuconymi granatami. Nie brakowało nam też jedzenia, bo dojna krassula, ptactwo domowe i urodzajny ogród były tego gwarantem.

Życie wiejskie, choć ograniczone wojennymi zakazami, wydawało się być normalne, jakby na uboczu wydarzeń. 24 czerwca siostra mojej matki Anna Bodniak z Piotrem Sapą zawarli związek małżeński w kościele parafialnym w Tłumaczu pobłogosławiony przez ks. Piszczura. Przyjęcie weselne skromne (na miarę czasu) dla najbliższej rodziny urządzono na podwórku pod gołym niebem. Do późnych godzin (noc KUPAŁY) przy dźwiękach akordeonu zapominali o wojnie cywile i żołnierze z sąsiednich domostw. Rozpoczęło się lato, ciepłe i bezchmurne. Na błękitnym niebie coraz częściej obserwowaliśmy potyczki myśliwców walczących stron oraz niemieckich bombowców wracających lotem koszącym z wyprawy frontowej do bazy na Dąbrowie (lotnisko w Stanisławowie).

W pierwszych dniach lipca nastąpiło przegrupowanie i ewakuacja dotychczasowych wojsk, ich miejsce zajęły nowe oddziały, okopując się na przedpolach wsi i w zagajnikach. Były to zwiastuny zbliżającego się od wschodu frontu, nadzieja rychłego powrotu Ojca, którego tak bardzo mi brakowało w trudnych chwilach.

Wśród ludności cywilnej zaobserwowano objawy licznych zachorowań na dur brzuszny. Doświadczenie z I wojny światowej mojej babci, która profilaktycznie faszerowała nas dużą ilością czosnku (i kieliszkiem bimbru) ustrzegło przed tą groźną chorobą, mimo bliskiego kontaktu z chorymi w schronie (ziemiance) w krytyczną noc przetaczającego się frontu.

Późne popołudnie drugiej połowy lipca. Zachodzące słońce smugami przedzierających się promieni oświetla na niebie groźne chmury burzowe. Odgłosy zbliżającej się burzy docierają coraz częściej i donośniej. Zapada zmrok rozjaśniany rozbłyskami wyładowań atmosferycznych i wybuchających w przestrzeni pocisków. Panika i strach gna nas do przepelnionego już schronu u sąsiadów, pozostawionego przez Niemców, gdzie spędziliśmy całą noc. Ziemia drżała w posadach, a modlitwę skupionych tu ludzi przerywały od czasu do czasu silne podmuchy fali powietrznej o drzwi „ziemianki”. Po kilku godzinach nastąpiło uspokojenie, jedynie głucho i dalekie dźwięki niczym z bębnow docierały z zachodnich stron. Po wyjściu z kryjówki ranek był pochmurny i mokry. Zniszczeń domostw nie było. Czyżby to przeszła tylko burza nocna? Efekty widać było dopiero na przedpolach wioski. Okopy i umocnienia obrócone w perzynę, pełne amunicji, prochu i porzuconego sprzętu. Gościńcem na zachód mknęły kolumny samochodów i sprzętu różnego przeznaczenia zwycięskiej armii sowieckiej. Następnego dnia, 26 lipca 1944 r., w którym w czasach pokoju zwykle odbywał się w Tłumaczu odpust ku czci św. Anny patronki kościoła, powrócił z tułaczki mój ojciec tak oczekiwany i gorąco witany. Wróciliśmy wreszcie do swego mieszkania w Tłumaczu z nadzieją pokoju i normalizacji życia.

(c.d.n.)



## Dalsza twórczość Henryka Rodakowskiego w Pałahiczach

Przedstawiamy wyjątki z książki o malarzu W. Kozickiego, który urodzony w Tłumaczu szczególnie rozumiał i barwnie opisał malarstwo H. Rodakowskiego, potrafił wczuć się w swoistą scenerię jaka otaczała malarza w tym czasie w Pałahiczach.

Przedstawiamy więc dalsze 3 obrazy, które powstały w Pałahiczach w tym samym czasie, co „Album Pałahickie” – jest to „Dama na koniu”, „Stróż”, „Popiersie Żyda”. Jednocześnie przepraszamy za bardzo złą jakość reprodukowanych obrazów. Nie mając dostępu do oryginałów skorzystaliśmy z ksera w książce „Henryk Rodakowski” W. Kozickiego, wydanej we Lwowie w 1937 r.

Redakcja

Trzyletni prawie pobyt Henryka Rodakowskiego w Pałahiczach uwieńczony został dorobkiem artystycznym, stosunkowo obfitym i ważnym. Powstały w tym czasie dwa dzieła, które w twórczości jego zajmują stanowisko doniosłe. Jedno to cykl akwarel, które Pałahiczom przyniosły rozgłos w całej Polsce dzięki zbiorowemu tytułowi: „Album pałahickie”; drugie – to ostatnie w zupełności skończone malowidło historyczne mistrza, słynna „Wojna kokosza”. Nadto w r. 1868 namalował artysta portret żony na koniu.



Dama na koniu. 1868 r.

„Dama na koniu” – taki oficjalny tytuł nosiła ta akwarela na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w r. 1894, przyczem na odwrotnej stronie zapisano jej wartość: 500 fl. (wys. 40 cm., szer. 34 cm., sygn. na prawo u dołu: „H. Rod. 1868”; wł. p. Zygmunta Rodakowskiego w Krakowie); techniką oraz stylem wiąże się ona ściśle z akwrelami „Albumu pałahickiego” a także pochodzi z tego samego czasu. Pani Kamila Rodakowska siedzi po damsku na małym siwym koniu, który nosił niezbyt dla siebie stosowną nazwę „Farysa”. Pani Rodakowska, siedząca na grzbiecie swego wierzchowca w ten sposób, że obie jej nogi spoczywają na lewym boku konia, a więc po stronie odwróconej od widza, ukazuje głowę w ostrym profilu, podobnie jak na portrecie z 1865 i ma identyczne rysy wybitnie przystojnej damy po czterdziestce. twarz osłania opuszczona aż poniżej szyi woalka, przytwierdzona do bardzo niskiego czarnego kapelusza, z pod którego spływają stalowo

na załomach połyskujące, czarne włosy, ujęte w węzeł. Czysty profil zarysowuje się z niezmierną delikatnością na tle nieba. Małżonka artysty ma na sobie ciemno-brązowy kubraczek bretoński (podobny do serdaka góralskiego, pięknie ornamentowany różnobarwnymi skrawkami skóry) i długą czarną amazonkę, zupełnie zakrywającą stopy. W rękach, obciążonych szaremi rękawiczkami, ponad którymi widać białe manszety, trzyma żółte cugle: mianowicie prawą, w której tkwi także elegancka szpicruta z niebieskim kutasikiem, ujmuje prawy, lewą zaś lewy cugiel munsztuka; cugle od fręzli są swobodnie przerzucone przez kolano. Żółta skóra siodła skombinowana z szarą białą czapraką, obrębnego niebieską listewką, tworzy łącznik kolorystyczny między czarnym strojem damy a śnieżystą, cieniami zaledwie lekko wymodelowaną bielą jedwabistej sierści konia. Siwek, strzygąc małymi uszami, przedzielonemi kosmykami młecznej grzywy, stoi spokojnie równolegle do płaszczyzny obrazu, nieznacznie tylko przechylając ku widzowi swą w prawą stronę zwróconą, krótką a mocną głowę o szerokim czole. Jego wesole, czarne oczy mają wyraz rozumu, łagodności i dobroci. Artysta bowiem, tak jak wówczas, gdy modelował rakara, dał w całym tego słowa znaczeniu portret konia, a nie ogólny zarys, nie zapominając o psychice. Całość, utrzymana w zimnych, zmatowanych tonach – wśród których najjaśniejszą plamą jest czerwony safjan na podbiciu serdaka – tchnie rzeźką, cierpką świeżością chłodnego wiosennego dnia, w którym nierozpalone jeszcze do żaru słońce łagodnie oświeca szaro-zielonawe krzaki na pierwszym planie, bardziej jeszcze szare pałahickie wzgórza w głębi i olbrzymi szmat blade-niebieskiego nieba, ożywionego delikatnie białymi obłoczkami, a sięgającego aż poniżej brzucha końskiego. Wycucie plein-aire’u jest w tej akwreli bardzo intensywne i bardzo konsekwentnie wyrażone. Nawet cień rzucony na ziemię przez konia w kierunku na prawo, nie jest czarny, ale ciemno-granatowy. Chociaż tego rodzaju zagadnieniami Rodakowski nigdy specjalnie się nie interesował, w tym wypadku podjął je instynktownie i doskonale rozwiązał, ponieważ zawsze był czujnym i bystrym obserwatorem widzialnej rzeczywistości. To też ten skromny, ale tak dla artysty charakterystyczny obrazek zasługuje na baczną uwagę, zwłaszcza że łączy się nietylko czasowo z najbliższymi jego dziełami.

Tak to w obrębie pałahickiego folwarku znalazł francuski rzekomo malarz, Rodakowski, na terenie codziennej powszedniości, jakże dalekiej od paryskiej kultury i wykwintu, przebogata skarbnicę nowych natchnień. Przeczynał już dawniej tę sztukę, wyrastającą



z ludowego podłoża, w rysunkach chłopów czyżykowskich, we „Wnętrzu cerkwi ruskiej”, w „Chłopcy z konopiami”, ale nigdy dotąd nie objawił jej tak lekko, bez trudu i z taką nieodpornie przekonującą wymową artystyczną. Stworzył rapsodję wiejską, dźwięczną jak poszum wiatru w gałęziach buków, smakowitą jak chleb razowy, nic nie tracącą na uroku i dziś nawet, kiedy widzieliśmy tyle kapitalnych postaci ludowych w dziełach Chełmońskiego, Al. Gierymskiego, Wyczółkowskiego, Pautscha, Sichulskiego i Jarockiego. A nie zapominajmy, że „Album pałahickie” powstało na przełomie roku 1867/8, że zatem Rodakowski był jednym z pierwszych u nas wysokiej miary nowoczesnych malarzy ludu. Były w malarstwie naszym XIX w. wcześniejsze o lat 10 do 20 typy ludowe, jeszcze bardziej rewelacyjne, wibrujące już nietylko potężną prawdą życiową, ale – co więcej – indywidualną, naturalistyczno-romantyczną amplifikacją życia, mówiące nie już o wielkim talencie, ale wprost o żywiołowym genjuszu plastycznym. Są to głowy żydowskie i chłopskie postaci z Krzysztoporzyc pod Krakowem i z Bolestraszczyca pod Przemyślem, zwłaszcza niezrównany „Seńko”, rzucone na płótno wybuchowemi, improwizacyjnymi rzutami rozszalałego pędzla Piotra Michałowskiego<sup>1)</sup>, który wyprzedził swą współczesność prawie o trzy ćwierci wieku. Są bowiem u niego świadome deformacje, dokonane w celu spotęgowania wyrazu ruchu i psychiki i świadomie zastosowane w tym samym celu barwy wyobrazeniowe, zamiast wrażeniowych, które kwalifikują go jako prekursora nietylko impresjonizmu, ale także nowoczesnego ekspresjonizmu. Niestety, te objawienia malarskie pozostały nieznanne, poza szczytym kręgiem rodziny i najbliższych znajomych, i nie wywarły żadnego wpływu na rozwój sztuki polskiej, jak nie miało go także „Album pałahickie”, które nazbyt krótko i zbyt nielicznym tylko osobom ukazane, aż do naszych czasów było dla ogółu niedostępne. A szkoda wielka, bo te akwarele, szlachetne w swych zimnych tonacjach, z przewagą barw ciemno-niebieskich i szarych, malowane wprawdzie bez pogwałcenia rysunku, ale szeroko i z rozmachem, z głęboką penetracją psychologiczną, tym razem nie żmudnie wystudjowaną, ale jakby raptownie w szczęśliwych godzinach zainspirowaną – mogłyby być przyczynić się do wyzwolenia znacznie rychlejszego naszej sztuki z więzów maniery akademicko-historycznej.

Akwarele „Albumu pałahickiego” należą do tych wyjątkowo szczęśliwych dzieł sztuki, które od chwili swego powstania aż do dnia dzisiejszego budziły i budzą zawsze zachwyt u każdego, kto je oglądał. Nawet srogi naogół dla Rodakowskiego Mycielski ma dla nich tylko wyrazy bezwzględnej uznania i nazywa je „prawdziwymi arcydziełami”. Sam Rodakowski był niewątpliwie bardzo zadowolony z tych utworów, które powstały samorzutnie i niemal przypadkowo, bo uznał je za rzecz godną posłania swym przyjaciółom w Paryżu, którym sprawił tem przyjemność taką, jakby ich czardziejskim sposobem przeniósł na chwilę do kraju. Jeden z nich, L. Chodakiewicz, korespondent „Czasu”, zamieścił entuzjastyczną ocenę tego dzieła w swej „Kronice paryskiej” z 11 stycznia 1869 r., poświęcając mu połowę obszernego feljetonu (którego drugą część wypełnił takimi nowaljami emigracyjnymi, jak wiado-

mości o drukującym się właśnie w nakładzie Księgarni Luksemburskiej „Posłaniu do braci” Seweryna Goszczyńskiego i o „Historji powstania 1863 r.” Agatona Gillera, odczytanej przez autora w wyjątkach na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego). „Te oderwane typy – pisał między innymi Chodakiewicz – połączone są jednością charakteru i stylu, a uderzają egzekucją bez żadnej przesady mistrzowską. Nic tu nie uładnione konwencjonalnie, nic nie idealizowane umyślnie, a jednak nigdzie nie przebija ta gminna rubasznosc, w jakiej podobają sobie u nas niektórzy lubownicy tak zwanych rodzajowych obrazków. Każda postać zachowała to właściwe sobie, a przecież rzewne i uroczyste piętno, jakie ludowi naszemu nadają ciężka codzienna praca i cięższa od niej codzienna bieda. Ta codzienność, napozór tak powszednia i nie malownicza, w albumie Rodakowskiego przybiera charakter poważny, głębszy, i zdobywa sobie obywatelstwo w dziedzinie prawdziwej sztuki. Zaprawdę, w sposobie traktowania owych krajowych typów daje Rodakowski wzór i wskazówki młodszym malarzom naszym, w jaki sposób zapatrywaćby się powinni na to życie potoczne, przesuwające się przed ich oczyma. Niechby artyści nasi, żyjący w kraju, choćby rodzajowemu malarstwu oddani, przyuczyli się dopatrywać nawet w tych typach, z potocznego życia wziętych, owej głębszej i poważniejszej strony, bo takie rodzajowe malarstwo, jakie flamandzka szkoła stworzyła, mimo niezaprzeczonych swych zalet nie może i nie powinno za wzór służyć. Zbyt wielkie różnice w duchu, charakterze i położeniu dzielą nas od flamandzkiego świata... „Album pałahickie” Rodakowskiego daje nam miarę, jak piękne, jak znakomite obrazy mógłby nam stworzyć artysta, umiejący w studjach od niechęcenia rzuconych – zachować tak prawdziwy a podniosły charakter; wszystkie te figury, stojące przed nami w swych zasmolonych kozuchach lub połatanych sukmanach, nietylko nie pobudzają do śmiechu, ale wywołują jakieś rzewne i głębsze uczucie.

„Ten Żyd arendarz, rozdający w karczmie wódkę, ma powagę spolicowskiego Jankiela, a gdy spojrzysz w posępne, głęboko niby zadumane oblicza wieśniacze, to cię ogarnie dziwna, niewysłowiona tęsknota, jak gdybyś się poczuł wśród samotnych pól podolskich, pod niebem szarem jak zgrzebne płótno i w uszach ci zakwilił nuta rusińskiej dumki, smętna, żalosna, jednostajna. A jakaż to świetna w tych akwrelach a jaka swobodna egzekucja! – wszystko za ledwie zdaje się na papier chuchnięte, lecz wyrażające doskonale to, co artysta chciał wyrazić, a jaki ponętny kolor.

„Jużto pod względem kolorytu, to Ruś podobno bogatszego może dostarczyć materiału artystom, niż jakakolwiek prowincja dawnej Polski. Słowacki, który się na Rusi urodził, a który w swoim rodzaju niepospolitym był kolorystą, pisał raz do jednego z malarzy z właściwą sobie fantazją: „Dlaczegożbyś ty nie miał wyobrazić ludziom na płótnie tej wschodnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która musi kiedyś wytrysnąć nawierzchnią obrazowości, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów na scenę świata wychodząca... Ta szkoła malarska musi wejść tą samą drogą, przez jaką dumki ruskie do nas weszły – widzę już – widzę stamtąd nadchodzącą szkołę niby wenecką, z ruskich cer-

kwi wylatującą na nietoperzowych skrzydłach popiej sukmany – brodacze, na tle złotych blach z pod topora Iwana Groźnego uciekli i pochowali się w ciałach polskich, w których drżą jeszcze dotąd szataństwem jednego człowieka poprzerazani... Wysłów lub wymaluj to, o czym one wiedzą (nie wiedząc, że wiedzą), a będziesz nowym mistrzem, Czyngishanem malarstwa, przed którego czerwonym i czarnym pendzlem Verne'ty uleca, lub pęką jak bańka mydlana”.

„Nie myślę Rodakowskiemu prorokować, że zostanie kiedyś owym Czyngishanem malarstwa przez Słowackiego marzonym, ale pewien jestem, że kto otaczające go typy tak doskonale pojmuje i oddaje, ten mógłby sztukę polską wzbogacić utworami niepospolitej wartości...”

Oczywiście cytat z Słowackiego został przez Chodakiewicza zastosowany do kolorytu „Albumu pałahickiego” zupełnie niewłaściwie. Rodakowski był zawsze szlachetnym i wytwornym kolorystą, ale nigdy nie hołdował orgjazzmowi kolorów.

Także Kapliński poznał się doskonale na wielkiej wartości artystycznej skromnych pozornie akwrel pałahickich. W dwóch listach, z grudnia 1871 i z 15 lutego 1872 r.<sup>2)</sup>, pisanych z Krakowa, gdzie mieszkał, prosił Rodakowskiego o przysłanie mu „Albumu pałahickiego” i pozwolenie przerysowania kilku akwrel dla warszawskich pism. Był on bowiem już wtenczas poważnie chory, a że malowanie olejne sprawiało mu trudności, przeto za radą Kossaka rysował na drzewie dla drzeworytników w Warszawie, by chociaż w ten sposób ulżyć sobie trochę w swych nieustannych kłopotach finansowych.

W Pałahiczach, prawdopodobnie około roku 1868 powstały jeszcze dwa obrazy: portet psa „Stróża” i popiersie Żyda. Oba nie są datowane, ale charakterem swym należą niewątpliwie do tego okresu, gdyż wynikły z tych samych wiejskorealistycznych zainteresowań artysty, co „Album pałahickie”.



„Stróż”. Ok. 1868 r.

„Stróż” był bardzo pięknym, dużym psem z góry św. Bernarda. Spełniał on w Passy obowiązki stróża domu, a potem wraz z całą rodziną przywędrował do Polski i tu aż do swej śmierci kochany był jak członek rodziny. Duży portret psa „Stróża” (olejny, wys. 98 cm, szer. 68 cm, bez sygnatury; wł. p. Woźniakowskiej w Biórkowie; dołem nieco uszkodzony: pomiędzy przednią a tylną łapą mała dziura), ma wszystkie zalety monumentalnych i psychicznie pogłębionych ludzkich portretów Rodakowskiego. „Stróż” siedzi na tylnych łapach na pierwszym planie rozległego i głęboko wdał sięgającego pejzażu naddniestrzańskiego. Zwrócony całym ciałem w prawą stronę, skierowuje ku widzowi kształtną i mądrą głowę, odsłaniając szeroką pierś i przednie łapy, na których się opiera. Jest on pokryty długimi, miękkimi włosami barwy biało-szarej, przybierającej miejscami żółtawe odcienie i urozmaiconej czarnymi łalami. Czarny szeroki pas ma przeciągnięty przez grzbiet i podbrzusze, czarne też ma uszy i głowę, na której pozostała jedynie biała strzałka na czole i biała plama na nosie, zakończonym łśnięciami, czarnymi chrapami, które sugerują w dotyku chłodną wilgoć, jak na zdrowego psa przystało. Szyję zdobi kołnierz długich, szaroczarnych kudłów. Puszysty gruby ogon spoczywa swobodnie koło tylnej łopatki. Rzecz jest malowana bez słońca, w plein-air'ze, z jasnym światłem, które pada z prawej strony i rzuca w lewo cienie przednich łap. Moment sytuacyjny tłumaczy się zupełnie przejrzystością. „Stróż” przed chwilą bawił się i figlował z swoim panem. Może coś aportował, może za czymś gonił, a teraz przysiadł zdyszany i wywiesiwszy długi, czerwony, mokry jęzor, bystreimi, mądrymi, ciemno-piwnymi, prawie czarnymi oczami, których tęczęwki są zaróżowione, patrzy wesoło na swego ludzkiego boga i przyjaciela, oczekując z zaciekawieniem, jaką mu nową zaproponuje zabawę. Wierna, pełna życzliwości i serdecznego oddania psychika tego dobrego zwierzęcia została po mistrzowsku wyrażona przez artystę, który malował ten konterfekt z uczuciem, że portretuje kogoś bardzo bliskiego swemu sercu. Urok obrazu podnosi daleki falisty pejzaż, sięgający swą najwyższą linią aż po barki psa, którego głowa rysuje się monumentalnie na tle nieba ciemno-niebieskiego, ożywionego białymi pierzastymi obłokami: Krajobraz z trawastami wzgórzami, zaroślami i tak charakterystycznymi dla tych stron włoskimi topolami ma ton ogólny ciemno-zielony, z akcentami gliniastych drózek i modrej, w głębi fioletowej strugi Dniestru. Portret ten, choć ma za temat tylko psa, należy do czołowych dzieł Rodakowskiego, przewyższając swą wartością małe akwrelowe portrety koni, a nawet gipsowy posążek „Rakara”. Wytrzymuje on też doskonale konkurencję z najlepszymi tego rodzaju dziełami słynnych Holendrów w. XVII; Pottera znany „Pies na łańcuchu” w Leningradzie bynajmniej nie jest lepszy.

Popiersie Żyda (wys. 15,5 cm, szer. 13 cm, bez sygnatury; wł. również p. Woźniakowskiej w Biórkowie) malowane jest gwaszem na papierze, częściowo popękany. Żyd ów przedstawiony jest w profilu, z głową lekko, a torsem silniej ku przodowi przesuniętym. Od jednostajnego ciemnego tła szarawo-brązowego odcina się chałat jaśniejszy, brązowo-czarny, włożony na ciemniejszą odzież spodnią. Kołnierz, częściowo od-





Popiersie Żyda. Ok. 1868 r.

wrócony, ukazuje podszewkę o tonie żółtawo-bronzo-  
wym. W rękach, które są niewidoczne, portretowany  
trzyma cienką laskę, a raczej pręcik, którego górny  
koniec rysuje się fioletowym odcieniem obok kołnierza  
chałata czy raczej wierzchniego płaszcza. Z pod rudo-  
czarnej, wysokiej czapki barankowej spływają na chu-  
dy, ku przodowi wygięty kark czarno-siwe włosy i pejsy,  
doskonale zapomocą światła wymodelowane. Sama  
twarz ma wyraz ascetyczny i fanatyczny; widoczny z  
pod czapki skrawek czoła pobródźdony głębokimi fał-  
dami; z pod krzaczastych brwi niebieskie wypukłe oczy,  
osadzone w szeroko zakreślonych oczodołach, patrzą  
trochę ku górze, beznadziejnie smutne i jakby zalęknio-  
ne, z chudej twarzy o zapadłych policzkach oraz wy-  
stających kościach wyrasta duży, cienki i ostry, mocno  
zakrzywiony, wybitnie semicki nos, zwieszający się nad  
małemi, kształtnymi ustami, które ocienia mały, siwy  
wąs i siwa również, trójkątnie ku dołowi zwężająca się  
broda, wydłużająca wybitnie tę z natury już długą i  
wąską twarz. Partje włosów, tak wydatne w tym dosko-  
nałym studjum portretowym, malowane są ze zwyczaj-  
nym u naszego artysty mistrzostwem. Dzięki intensy-  
wnej ekspresji psychiki „Żyd” ten staje godnie obok in-  
nych postaci żydowskich Rodakowskiego, które mają  
wyraz stałego smutku, będącego jakby znamiennym  
rysem psychicznym rasy, żyjącej przez całe wieki wśród  
nienawiści i prześladowań otoczenia. Jeśli jednak u  
karczmarza Josia ten smutek wyrażał się w jakimś ote-  
pieniu duchowym, a u pachciarza Szlomy w głupawem  
trochę zatroskaniu, to tu potęguje się on do stanu cierpie-  
nia i tragizmu, zbliżających tego „Żyda” do „Roznosiciela  
telegramów” z Albumu. W całości jest to nowy przykład  
potężnego realizmu Rodakowskiego, który po raz pierw-  
szy przejawiał się tak wspaniale w portrecie ojca artysty.

Niktby nie przypuścił, że realistyczne, tak wszyst-  
kiemi korzeniami w prawdzie życia codziennego tkwią-  
ce „Album pałahickie” mogło pozostawać w jakimś ge-  
netycznym związku z uroczystą, dostojną, idealizowa-  
ną i heroiczną „Wojną kokoszą”, którą Rodakowski,  
wbrew swoim instynktom i upodobaniom, złożył hołd

duchowi czasu, orzekającemu bezapelacyjnie, że tylko  
obraz historyczny jest godny pędzla wielkiego mala-  
rza. A jednak tak było. Możemy wprost zaryzykować  
twierdzenie, że te wyborne typy ludowe zawdzięczają  
swe powstanie „Wojnie kokoszej”. Artysta na folwarku  
pałahickim i w stajni szukał poprostu modeli do postaci  
swej kompozycji historycznej, lecz w toku tych studjów  
tak się w swej robocie rozmyślał, że potem malował  
już dalej, niezależnie od myśli o swem wielkiem dziele.  
Widzieliśmy już, że chuderlawy karczmarz pałahicki,  
Josio, zaawansował w „Wojnie kokoszej” aż na arcybi-  
skupa lwowskiego. Nie koniec na tem. Wytworny ry-  
cerz w zagranicznym stroju z dużym czarnym krzyżem  
na piersiach – to stelmach folwarczny Pracer, a jego  
towarzysz z przyszytym wąsem, stojący w głębi  
pomiędzy nim a arcybiskupem – to znów ogrodnik Se-  
meńko. Także grupa na prawo, w tyle za Boną, jest  
prowenjencji pałahickiej, tylko już nie folwarcznej, ale  
dworskiej. Brodaty rycerz w szyszaku, o posępnym  
spojrzeniu, zawdzięcza swój wygląd stryjowi artysty,  
ówczesnemu staroście tłumackiemu, Leonowi Roda-  
kowskiemu. Do dwu kobiet obok niego pozowały dwie  
panie Rodakowskie: Henrykowa (zwrócona w prawo) i  
Leonowa (patrząca w lewo). Natomiast dwa inne typy  
wśród głównych postaci obrazu powstały jeszcze w  
Paryżu. Gamrat jest wystylizowanym odpowiednio kon-  
terfektem przyjaciela artysty, Józefa Rustejki. Bona  
sprawiała Rodakowskiemu wiele kłopotu i kilkakrotnie  
ją przemaalowywał. Pierwotnie miała ona rysy paryżan-  
ki, pani Pastré. Później zastąpiła ją lwowianka, pani  
Małachowska. Zapewne także kapitalna w swej zaro-  
zumiałej pysze głowa Piotra Kmity i szlachetna, pełna  
głębokiego smutku twarz starego króla opierają się na  
jakichś nieznanym nam dzisiaj żywych pierwowzorach.  
W każdym razie w tym procederze transponowania  
realnej rzeczywistości na idealną przeszłość historyczną  
nigdy nie było mowy o dosłownem kopjowaniu modeli.  
Porównanie Josia z „Albumu pałahickiego” z arcybisku-  
pem Tarłą z „Wojny kokoszej” pozwala nam na stwierdze-  
nie metody, stosowanej w tym wypadku przez Rodakow-  
skiego. Od modelu brał artysta tylko najogólniejszy, za-  
sadniczy typ twarzy. Był on dla niego niejako poczwarką,  
z której miał się narodzić świetny motyl idealnej postaci.  
Metamorfoza ta dokonywała się przy pomocy syntezy,  
sublimacji i egzageracji. Ponieważ dawniejsza krytyka,  
zmylona tem, że Rodakowski był przedewszystkiem nie-  
zrównanym portrecistą, zarzucała mu, że jego obrazy hi-  
storyczne są zbiorowiskiem doskonałych portretów, nie  
ożywionych jednak nicią jednolitej akcji dramatycznej.<sup>3)</sup>

Przypisy:

1) Sterling M., Piotr Michałowski. Warszawa (Insty-  
tut „Biblioteka Polska”, 1932, tabl. XV, XVI, XXXII,  
XXXIII, XXXIV, XXXV i XXXVIII).

2) Oznaczenia roku brak, lecz pochodzenie z lat  
wyżej oznaczonych niewątpliwe. Listy te znajdują się w  
archiwum rodzinnym Rodakowskich.

3) Obraz historyczny „Wojna Kokosza”, który wg W.  
Kozickiego powstał również w naszych Pałahiczach nie  
jest nam dostępny do reprodukcji w „ZT”. Zwracamy  
się z prośbą do naszych Czytelników o nadesłanie  
zdjęcia tego obwraza, do zamieszczenia w „ZT”.

Redakcja

PS. Zachowano oryginalną pisownię – Red. □



## Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

### Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

#### Stosunek do zakonnic

Polskie zakonnice Ksiądz bardzo szanował i cenił. Największą łączność utrzymywał z Siostrami de Notre-Dame. Ubogimi Siostrami Szkolnymi de Notre-Dame, jak się oficjalnie nazywały. Ludzie mówili na nie Notrdamki. Zakonnice te sprowadził do Tłumacza ks. proboszcz Tabaczkowski i powierzył im opiekę nad założonym przez siebie Seminarium Nauczycielskim żeńskim. Jakiś czas, jeszcze przed moim przyjściem do Tłumacza, ks. Witkowski był dyrektorem tego Seminarium. Później katechetą i jak gdyby kapelanem, bo w kaplicy Sióstr odprawiał Mszę św. Często chodziliśmy Mu tam służyć. Gdy mieszkał jeszcze u Gelehrterów, do zakonnicy miał bardzo blisko. Budynek seminarium stał niemal naprzeciw Jego domu. Później, z bursy do kaplicy u Nortdamek było już dalej, ale i wtedy Ksiądz u nich chętnie celebrował z uwagi na ogrzewanie zimą pomieszczenia kaplicznego.

Kilka zakonnic Ksiądz miał w szczególnej estymie z powodu ich urobienia wewnętrznego i kultury osobistej. Nieocenioną była np. Siostra Antonina, czy S. Joanita. Pierwszą mniej pamiętam. Druga zapisała się w mojej pamięci swoją sylwetką, smukłą, prostą oraz bladą twarzą naznaczoną ospowymi wgłębieniami i ożywioną działalnością. Była czynna na terenie seminarium i w przyseminaryjnej szkole ćwiczeń, pomagała w organizowaniu uroczystości kościelnych, akademii, szkolnych przedstawień, udzielała się też na terenie powiatu tłumackiego, pomagając księżom w organizowaniu okolicznościowych imprez, a personelowi instytucji zajmujących się opieką nad dziećmi udzielała swoich doświadczeń pedagogicznych.

Oprócz SS de Notre-Dame w Tłumaczu były Służebniczki Starowiejskie. Prowadziły ochronkę dla sierot, też dzieło ks. Tabaczkowskiego. Pracę miały bardzo ciężką ze względu na szczupłość środków materialnych, a sporą gromadkę wychowanków, dziewczynek i chłopców. Przypominam sobie, że z wielką wdzięcznością przyjmowały od mojej Matki zapasy żywnościowe i odzież, jakie posyłała im z okazji Świąt i pewnych uroczystości np. św. Mikołaja. Ze Służebniczkami ks. Witkowski nie miał bliższego kontaktu, nie zauważyłem, aby odwiedzał ich dom. Ale cenił ich pracę.

Przez jakiś czas Ksiądz był spowiednikiem SS Niepokalanek w Niżniowie. Zakonnice te mieszkały w popaulińskim klasztorze łączącym się bezpośrednio z kościołem parafialnym. Miały swoją prywatną szkołę powszechną wraz z internatem, z których przeważnie korzystały córki okolicznych ziemian. Niepokalanek były znane w środowisku księży ze swoich wielkich wymagań odnośnie poziomu posługi kapłańskiej.

Oprócz słuchania spowiedzi, Ksiądz głosił Niepokalanom konferencje ascetyczne, przewodniczył nabożeństwom. Czasem opowiadał mi o swoich wrażeniach z niżniowskiego klasztoru. Podobała się Mu jego estetyka, ubóstwo pełne wdzięku, położenie budynku na zboczu wąwozu pokrytego lasem, obszerny, dobrze utrzymany ogród kwiatowy (a napisałem już, że Ksiądz bardzo lubił kwiaty), grobowiec zakonny w ogrodzie. Podobało Mu się przede wszystkim umiłowanie przez Niepokalanek liturgii. Ksiądz był jej wielkim miłośnikiem, na terenie Tłumacza nie znajdował podobnych sobie entuzjastów liturgii, więc tym bardziej rozwodził się nad nią w Niżniowie. Ks. Witkowski propagował w gimnazjum śpiew gregoriański, wyuczył nas kilku hymnów według melodii gregoriańskich np. Veni Creator, Magnificat, ale nasze chłopięce, uczniowskie wykonywanie pień gregoriańskich raziło wyrobione i wybredne ucho Księdza. A Niepokalanek śpiewały chorał gregoriański pięknie. Ksiądz zawsze utrzymywał, że jest on przeznaczony dla mężczyzn. Melodie gregoriańskie zyskują pełne brzmienie przy mocnych, męskich głosach. Interpretacja kobieca jest słaba, nie oddaje istoty tego chorału. To tak, jak sztuczne kwiaty w zestawieniu z żywymi. Jedyny wyjątek w swojej negatywnej ocenie kobiecego śpiewu gregoriańskiego Ksiądz czynił dla Niepokalanek. Słabość swoich głosów nagradzały, według Niego – dobrym i harmonijnym ustawieniem ich, wczuciem się w śpiewany tekst, wiarą, miłością i pobożnością wyczuwalnymi w śpiewie. Branie udziału w nabożeństwach niżniowskich, podczas których śpiewały SS Niepokalanek, było dla Księdza przeżyciem religijnym i estetycznym.

Jeszcze inne zakonnice, z którymi ks. doktor się stykał – to Józefitki. Osiedliły się w latach trzydziestych w Zagórzku Polskim k. Bratyszowa. Nie wiem, czy tamtejsze duże gospodarstwo kupiły same, czy otrzymały od kogoś w darze. Powiększały je, ulepszały, cieszyły się, gdy mogły w domu urządzić kaplicę. Byłem na jej poświęceniu razem z Rodzicami. W uroczystości tej wziął również udział ks. Witkowski obok ks. Tabaczkowskiego i jego wikarego.

Działalność SS Józefitek w Zagórzku Ksiądz oceniał bardzo pozytywnie. Prowadziły tam przedszkole, urządziły rozmaite kursy dla kobiet, kto wie, czy nawet nie były w jakiś sposób zaangażowane w szkolnictwo podstawowe, bo jedna siostra była na pewno czynną nauczycielką. Ich mająteczek świecił przykładem gospodarności, dźwigał we wsi kulturę rolną, a poza tym sama obecność polskich zakonnic wśród ludności przeważająco ruskiej robiła swoje. Józefitki były dla Księdza zgromadzeniem sympatycznym, dającym się lubić. Ks. doktor chwalił moje Ojca, że tak pomaga sio-

strom, ułatwia im przeprowadzanie spraw urzędowych, zachęca Polaków mieszkających w Zagórzcu, aby okazywali zakonnikom życzliwość i uczynność.

– Twój Ojciec to wspaniały człowiek i dobry Polak – zakończył Ksiądz swoją wypowiedź.

#### **Ulubione dzieła sztuki**

Ks. Witkowski miał kilka ulubionych dzieł sztuki związanych z chrześcijaństwem. Posiadał ich reprodukcje i starał się je popularyzować. Do takich należała w pierwszym rzędzie rzeźba Stefana Maderny przedstawiająca św. Cecylię. Będąc jeszcze jako student teologii w Rzymie, Ksiądz widział ją w kościele na Zatybrzu, a wierną jej kopię w katakumbach św. Kaliksta i wyjątkowo spodobała się mu od pierwszego wejrzenia. Rzeźba przedstawiała świętą Męczennicę w chwili po zgonie. Leżała na boku, z twarzą zwróconą ku ziemi. Na szyi widniało uderzenie miecza. Bezwładne ręce z wyciągniętymi palcami osunęły się na dół. Ks. Witkowski posiadał oprawioną fotografię dzieła Maderny w swoim mieszkaniu i według niej polecił sporządzić obraz, który umieścić pod mensą ołtarza w kaplicy sołdacyjnej w budynku Sokoła.

Miał zamiar pokryć ściany tejże kaplicy malowidłami, które byłyby wzorowane na rysunkach zdobiących pustelowskie wydanie brewiarza rzymskiego. Rysunki te, chociaż nie posiadające większej wartości artystycznej, bardzo lubił, bo wyrażały i uplastyczniały szczerą wiarę i prawdziwą pobożność. Nieraz wskazywał mi jakiś szczegół brewiarzowej grafiki i zamyślony komentował go, np.

– Popatrz, jak ten anioł cierpi, gdy patrzy na Ukrzyżowanego Pana Jezusa. Jaka boleść w jego spojrzeniu, w ugięciu szyi, w ruchu ręki.

– To dziecko tak patrzy na niesioną w procesji monstrancję, jak musiały patrzeć na Pana Jezusa żydowskie dzieci, gdy przygarniał je do siebie.

Ze swojej podróży do Rzymu i zwiedzania muzeum watykańskiego Ksiądz zapamiętał szczególnie obraz Fr. Lippiego przedstawiający adorację Dzieciątka przez Matkę Bożą. Mówił, że oryginału nie potrafią oddać żadne reprodukcje. Zwłaszcza kolorytu płótna. Gdy wyjeżdżałem do Rzymu, zachęcał mnie do szczególnie uważnego przyjrzenia się wspomnianemu obrazowi.

Kochał Rafaela. Uważał go za niedoścignionego mistrza w ukazywaniu subtelnego piękna kobiecych twarzy. Gdy w czasie swojego administrowania parafią w Mariampolu zetknął się z tamtejszym obrazem Matki Bożej, zaczął snuć hipotezę, której potwierdzenia szukał później we Wrocławiu u historyków sztuki, że jest on dziełem Rafaela lub jakiegoś mistrza z jego kręgu.

#### **Jeszcze o miłości Kościoła**

Ks. Witkowski, co już mocno zaznaczyłem, bardzo miłował Kościół katolicki. Uważał go za swoją najlepszą matkę. Umiał na lekcjach religii, a szczególnie w rozmowach delikatnie uzewnętrzniać swoje uczucia. Z przeszłości i teraźniejszości Kościoła wydobywał i naświetlał fakty, które świadczyły o jego wielkości i mądrości. Ogromną miłością darzył Ojca św.; miał do niego stosunek naprawdę synowski. Ucząc o papieżach, którzy ujemnie zapisali się w dziejach starał się odkryć w nich wartości pozytywne. Cieszył go każdorazowy triumf papieża nad władcami świeckimi. Lubił do końca życia przy nadarzających się sposobnościach cytować

zdanie zaczerpnięte ze średniowiecznej kroniki opisującej konflikt Fryderyka Barbarossy z Aleksandrem III. Zwycięzony cesarz był raz zmuszony według obowiązującego ceremoniału przytrzymać strzemień wsiadającemu na konia papieżowi, który udawał się do kościoła na dziękczynne nabożeństwo. Wtedy Fryderyk wyrzekł do Aleksandra III słowa:

– Non tibi, sed Petri.

.Papież odpowiedział:

– Et Petri et mihi.

#### **Umilowanie brewiarza**

Spomiędzy wielu rodzajów modlitwy, ks. Witkowski najwięcej cenil modlitwę brewiarzową. Ze skupieniem i zamiłowaniem odmawiał psalmy, znajdując w nich głębię myśli i piękno formy. Z zamieszczonych w brewiarzu tekstów Pisma św. i Ojców Kościoła, życiorysów świętych umiał wydobywać wskazówki dla swojego osobistego postępowania i formowania charakteru swoich wychowanków. Zwrócił mi raz uwagę na modlitwy brewiarzowe. Ich jasność, zwięzłość w przedstawieniu Bogu stanu i potrzeby człowieka przeciwstawił rozwlekłości i mętnemu sentymentalizmowi niektórych modlitw znajdujących się w książeczkach do nabożeństwa.

Z brewiarzem Ksiądz się nigdy nie rozstawał. Nosił go w swej czarnej teczce, której nie zamykał i trzymał pod pachą, do kościoła, do szkoły. Często odmawiał go, chodząc po alejach parku, w ogrodzie przy bursie, wokół kościoła parafialnego. Modlił się z brewiarza i wtedy, gdy chory leżał w łóżku. Do bliższych sobie uczniów mawiał, że brewiarz daje siłę i radość. Jest też tak wspaniałą lekturą, że błędą przy niej inne teksty. Raz na lekcji, ucząc nas o modlitwie, przytoczył słowa Pana Jezusa: Oportet semper orare et numquam deficere. Wydawało się mi wtedy, że Ksiądz przede wszystkim sam stosuje się do tego polecenia. Całe swoje życie, wszystko co czyni traktuje jako modlitwę.

W swojej bibliotece posiadał wyborową literaturę ascetyczną, a wśród niej opracowania rozmyślań, z których korzystał. Podobały się Mu „Rozmyślenia o Ewangeli” bpa Ottokara Prohaszki.

#### **Moje kontakty z ks. Witkowskim podczas wojny**

Gdy z końcem września 1938 r. wyjechałem z Tłumacza do Seminarium Duchownego we Lwowie, mój bliski kontakt z Księdzem przerwał się. Wymienialiśmy tylko grzecznościową korespondencję z okazji świąt i imienin. Mnie, jako alumnowi, nie wolno było poza wakacjami letnimi odwiedzać swoich Rodziców, a Ksiądz nie miał zwyczaju przyjeżdżać do Lwowa. Zobaczyłem się z Nim dopiero we wrześniu 1939 r., gdy powróciłem do domu z wakacji, już po wybuchu wojny. Ks. profesor przewidywał zaatakowanie Polski również przez Związek Radziecki, o czym mówił już dawniej. Gdy ten fakt rzeczywiście nastąpił, w niedzielę 17. września i wojska sowieckie pojawiły się w Tłumaczu za dwa dni, dopiero po częściowym ochłonięciu z tej tragedii spotkaliśmy się znowu u ks. Tabaczkowskiego na plebanii. Wojna i związane z nią nasze osobiste przeżycia spowodowały, że brakło przy naszym widzeniu się dawnej bezpośredniości i serdeczności. Byliśmy całkowicie zaabsorbowani nieszczęściem naszej Ojczyzny.

Zdaje się, że ks. Witkowski usunięty z bursy zamieszkał na plebanii. Później, pozbawiony możliwości



wykonywania swych funkcji nauczycielskich, otrzymał administrację parafii w Mariampolu, dokąd się przeniósł. Ja przebywałem we Lwowie. Nie starałem się o nawiązanie łączności z Księdzem, nie chcąc sprawiać wrażenia, że szukam u Niego pomocy w swoich, nadzwyczaj wówczas trudnych, warunkach materialnych.

#### **Ks. Witkowski w Głubczycach**

Gdy rozpoczęło się masowe wysiedlanie Polaków z województw wschodnich, ks. Witkowski razem ze swoimi parafianami wyjechał z Mariampola do Głubczyc na Śląsku. Tam zamieszkał w budynku przy kościele parafialnym, wykonywał posługi duszpasterskie, a na niedzielę i sąsiadujące z nią dni udawał się do pobliskich Zawiszyc, pozbawionych kapłana. Właśnie w Zawiszycach nastąpiło moje pierwsze po wojnie spotkanie z ks. profesorem.

Doszło do niego w ten sposób, że Ksiądz przeczytał podpisane przeze mnie nazwiskiem i początkową literą imienia ogłoszenie w „Gościu Niedzielnym” w sprawie pomocy naukowych potrzebnych studiujących w Krako-

wie klerykom. Napisał wtedy na podany w ogłoszeniu adres zapytanie, czy sygnujący je ma coś wspólnego z Lesławem Jeżowskim z Tłumacza? Odpisałem, że przecież to ja, Jego uczeń, dałem ten anons do „Gościa Niedzielnego”. Ksiądz zaprosił mnie do Głubczyc, dokąd pojechałem na wiosnę 1947 r. Nie zastałem ks. Witkowskiego w mieście. Przebywał w Zawiszycach. Poszedłem tam pieszo. Zobaczywszy Księdza po ośmiu latach, stwierdziłem, że prawie się nie zmienił. Tylko jego odzież była zaniedbana. Sutanna wyglądała okropnie. Wyjaśnił mi, że dawne uległy zniszczeniu, a tę, którą nosił, uszyła Mu jakaś baba w Zawiszycach. Tematów do długich rozmów nie brakło nam.

Gdy razem wróciliśmy do Głubczyc, Ksiądz zwrócił mi uwagę na obraz M B z Mariampola, który wisiał w Jego pokoju nad łóżkiem. Opowiedział mi jego dzieje. Z różnych napomknien wywnioskowałem, że Ksiądz dobrze się czuł w Mariampolu jako proboszcz. Może lepiej niż katecheta gimnazjalny w Tłumaczu?

(c.d.n.)

## Z życia Tłumaczan

### Odpust

#### Jerzy Czyżycki

To słowo kojarzy się nam z barwymi straganami, gwarem okupujących je odpustowiczów, a nade wszystko dziećmi zwabionymi różnościami jakich na co dzień nie mają. Ten odpust jest inny. Nie ma na nim tego o czym napisałem wyżej. Niedziela jak każda inna, ale jednak różniąca się od tych kilkudziesięciu zwykłych w roku. To ostatnia niedziela lipca, dzień który mieszkańcy Siedlakowic i Marcinkowic obchodzą uroczystej. W tym dniu bowiem odprawiona zostaje msza odpustowa na cześć św. Anny Samotrzeciej, która patronuje w Siedlakowicach małemu kościółkowi filialnemu parafii Zachowice. Do tubylców dołączają dawni parafianie św. Anny, która tu znalazła schronienie po ekspatriacji z małego, ale starego, bo liczącego blisko 800 lat miasteczka kresowego – Tłumacz.

Jest nas niewielka grupka, która wolno się powiększa, bo przyjeżdżają jeszcze inni. Powitania, rozmowy, towarzyszą nam w oczekiwaniu na nabożeństwo. Piękny słoneczny dzień. Tłumaczanie mówią, że nie pamiętają by na św. Anny nie było pogody. Jak zawsze z okazji odpustu wewnątrz kościółka jest odświętnie ustrojone. Nabożeństwo prowadzi i homilię głosi ks. Ryszard Peszko z Rogowa Sobóckiego. Po mszy św., jak nakazuje tradycja, procesja wokół kościółka. Po zakończeniu uroczystości odpustowej ks. proboszcz Zbigniew Wróbel dziękuje parafianom za udział w ciągłym upiększaniu świątyni. Mówi z troską o trudnych tegorocznych mokrych żniwach. Mówił też o nas – tłumaczanach – którzy corocznie z wielu zakątków Polski jadą do swojej św. Anny by

oddać Jej hołd i prosić u Jej stóp o zdrowie, błogosławieństwo i opiekę. Stawia nas za przykład wspólnoty, która w ramach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich jako Ogólnopolski Oddział Tłumaczan stara się utrzymać więź pomiędzy rozproszonymi tak w kraju jak i za granicą krajanami. Corocznie, mówi, spotykają się na 2 tygodniowych wczasach, organizują tradycyjny opłatek, wydają kwartalnik pt. „Zeszyty Tłumackie”, w którym pisząc wracają do czasów i zdarzeń przeszłych, a także dzisiejszych. Nade wszystko gromadzą się corocznie tu u stóp św. Anny. Tam w Tłumaczu, małym miasteczku kresowym, królowała św. Anna i przed jej obliczem zostali ochrzczeni, przyjmowali I komunię św. Byli tu i tacy, których połączono węzłem małżeńskim tam właśnie. Piękny i godny naśladowania to zwyczaj utrzymywania więzi pomiędzy sobą. Dziękujemy Księżu Proboszczu za przypomnienie o naszej działalności, za te słowa uznania.

Na zakończenie odpustu ks. proboszcz dokonał poświęcenia pojazdów, bo odpust zbiegł się z tradycją związaną ze św. Krzysztofem.

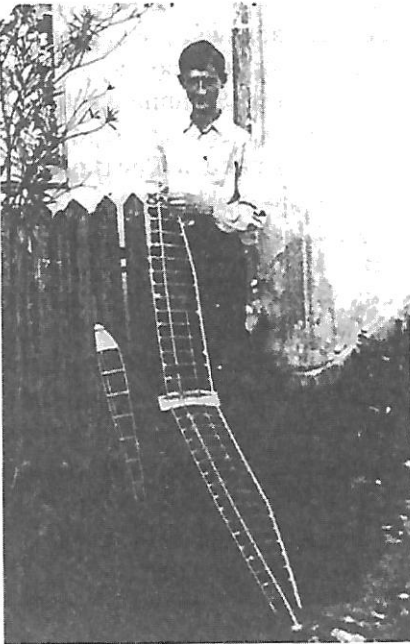
Jak zwykle po uroczystości tłumaccy pielgrzymi gościli u miejscowych parafian. Tym razem u Pań Weroniki Kłapkowskiej dawnej parafianki oraz Heleny Baran, która co prawda nie pochodzi z Tłumacza, ale staropolskim zwyczajem gości jak potrafi przybyłych na odpust. Niekończące się rozmowy, wspomnienia trzeba jednak kończyć. Żegnając się dziękujemy gościnnym mieszkańcom Siedlakowic za przyjęcie, życząc naszym kresowym zwyczajem – Ta daj Panie Boży Zdrowi. Do zobaczenia za rok. □



# „Skrzydlaty Chłopiec”

Listy z Izraela – II

Kornelia Szankowska



Tłumacz: 13-letni Maks składa model swego szybowca

Jest zaawansowany wrzesień. W dzień słońce przygrzewa jak w lecie. Ale późne popołudnia i wieczory, a dalej noce i wczesne ranki są już chłodniejsze, często pochmurne. Gwałtowny tutejszy zmierzch zapada wcześniej tj. o 7.00 godzinie (w Polsce to 18.00) i świecą już latarnie.

Na krzewiastych drzewach granatów żółkną ich drobne liście. Opadną później całkowicie. Nie-

liczne topole sucho szeleszczą na wietrze – trochę jak w Polsce. Ich liście też opadną. Pozostałe drzewa i krzewy zostaną zielone – jesień, nawet późna, nie jest tu smutna, melancholijna. Niebawem zaczną się deszcze i woda nasyci niedostatecznie w tym roku podlewaną zielen. Jest ogólny niedobór wody po skąpych opadach ubiegłej zimy.

Obchodzimy właśnie Nowy Rok 5762, jest to dwudniowe święto. Minimalny ruch samochodowy i odpoczynek w domach lub na weekendach. Podobnie jak w każdy szabat. Lubię tę ciszę sobotnią, którą rozpoczyna już piątkowe popołudnie. Jest to przerwa w ogromnym tempie życia – dobra i konieczna. Niestety często spokój teraz zakłócają tragiczne wydarzenia autorstwa Arabów. Ginią ludzie, są liczni ranni, małe dzieci, śliczne żydowskie dzieci o ciemnych, poważnych oczach i pięknych, bujnych włosach.

Widziani przeze mnie w Jafie liczni Arabowie żyją dostatnio. Dzieci ich bawią się na ulicach, młodzież jeździ samochodami, b. szybko. Z ich celowo nastawionych głośników na zewnątrz rozlega się przeraźliwa muzyka. Tak chcą żyć – nikt im nie przeszkadza. Język arabski jest w programach TV. Życie toczy się dalej, również w Jerozolimie, gdzie są najczęstsze zamachy. To nie heroizm, ani patriotyzm, to fanatyzm pcha Arabów do nieobliczalnych postępów. Cieszą się potem z wywołanych przez siebie nieszczęść. Czy to ludzkie? Mają zmażone umysły. Powtarzają się więc tragedie, a następnie fale życia jak fale morza zalewają je codziennością.

\*\*\*

A to już historia: „Skrzydlaty chłopiec”<sup>1)</sup> z Tłumacza”

Mój pan domu płk Karol Daniel Zewadi dawniej Maks Hartenstein od wczesnych, chłopięcych lat (przed 2-gą wojną światową) interesował się żywo modelarstwem szybowcowym, majstrował najpierw sam, w oparciu o czasopisma LOPP. Matka nie broniła mu tego (ojciec już nie żył), nie chodził na wagary. Był dobrym uczniem i nauka nie ucierpiała z powodu tego hobby. Nad Tłumaczem raz w tygodniu z Warszawy do Budapesztu przelatywał samolot. W 1932 r. – jako 13 latek zdobył I-szą nagrodę w modelarstwie – był to wyjazd do Grudziądza: jako przedstawiciel województwa stanisławowskiego został uczestnikiem ogólnopolskiego zgrupowania dla modelarzy szybowcowych. „Mili” współtowarzysze dokuczali mu wysypując w nocy pieprz do nosa. „Kochani” chrześcijanie! Kolejny kurs ukończył w 1934 r. a w 1935 r. to już była Szkoła Szybowcowa w Wygodne k/ Doliny, blisko Stryja. Zaczął latać. I tak zrodził się tłumacki „Skrzydlaty chłopiec”.

Z ramienia LOPP jeszcze przed maturą został instruktorem modelarstwa. Uczył tej sztuki w szkołach następnych chłopaków z wyobraźnią. Zdał maturę wśród najlepszych, podobnie jak ks. L. Jeżowski, z którym do dzisiaj są w kontakcie przyjacielskim. Nadal pracował jako instruktor modelarstwa, myślał o lotnictwie już wtedy.

Tu dygresja:

Ziściły się marzenia. Został pilotem... izraelskim. W bieżącym 2001 r. lotnictwo izraelskie ma 50 lat swojego istnienia. Na dużą uroczystość nie zapomniano zaprosić płk. Karola D. Zewadi, który pierwszy „oblatywał” tu amerykański helikopter wywołując przed 50 laty wielką sensację. Samochody stawały na głównej drodze do Tel-Awivu z Jerozolimy, a on „wisiał” nad nimi w powietrzu. Na uroczystości tegorocznej siedział skromnie, cywilnie ubrany i nagle gdy go wywołano, wstał. Rozległy się brawa – oklaskiwało go 4 tys. ludzi z lotnictwa. Powiedział: „czułem się jak Luciano Pavarotti”.

Wracam do historii:

Wybuch wojny w 1939 r. przerwał bieg zainteresowań. Niebawem „za 1-szych bolszewików poszedł w żołdactwo”. Został wcielony do Armii Czerwonej i w 1940 r. wysłano go do Bałaszowa k/Saratowa do szkoły lotniczej. Warunki jak na Związek Radziecki były niezłe ale... niemożliwie wprost pogryziony tam przez pluskwy (europejska krew) „wylądował” w szpitalu. Po leczeniu niedoszły „loteryk sowiecki” wrócił do Tłumacza.

Naraz zaskoczenie: 22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka jako nieoczekiwany wynik niedawnej „przyjaźni”.

Od tego momentu zmienia się wszystko w życiu rodziny Hartensteinów. Następowali Niemcy, dochodziły szybko wieści o ich okrucieństwach w szczególności wobec Żydów. Trzeba było uciekać, ukrywać się, ratować życie. Oddzielnie wyje-

chała matka z synową. Każdy działał na własną rękę. W domu zostaje sam Maks-Karol. Widzi go zatrudniony od wielu lat fornal Rusin (Ukraińiec teraz) Segiedyn, który zagrabia wszystko jak swoje. Zbliża się z orczykiem w rękę z jednoznacznym zamiarem... Karol młody jest szybszy, ucieka do sadu i nie wraca już do domu, do swego rodzinnego domu nie może wejść, bo zginie. Został w tym co miał na sobie, była jesień. Dają mu doraźne schronienie przyjaźni ludzie. Koledzy szkolni odprowadzają go do Pałahicz i dają pieniądze na pociąg do Stanisławowa. Już nigdy nie zobaczy Tłumacza.

#### Tułaczką

W Stanisławowie zatrzymuje się chwilowo u dawnego nauczyciela matematyki – prof. Smotra. Znają się z Tłumacza.

Zaopatrzone w gotówkę jedzie do Przemyśla, potem dalej do Lwowa. Tu właśnie trwa pogrom – rozstrzeliwanie ludzi. Idzie do ukraińskiej restauracji i jedząc leniwe pierogi odczeka najgorsze. Dalej dociera do Kocmyrzowa pod Kraków do matki żony prof. Smotra. Stamtąd do Krakowa do Wacka Muszyńskiego. Mieszkanie w Krakowie znajduje się obok głównych koszar SS – General Guvernement i nie było dobrym schronieniem. Musi wyjechać stamtąd jak najprędzej. Jest decyzja – jechać do Warszawy, do osoby z konspiracji. Cudem ominęła go kontrola dokumentów w czasie podróży. Pociąg stanął na stacji – Niemcy wyszli na papierosa i... nie wrócili. Może to cynowa Matka Boska, którą ktoś zawiesił mu na szyi... Ale tu także nie może zostać. Wraca do Krakowa,

gdzie mieszka Wacek Muszyński, którego zna z wakacji w Tłumaczu. On pomaga w uzyskaniu aryjskich papierów. Na oryginalnych niemieckich drukach sfabrykowano dokumenty. „Urodził się” Karol Edward Zawadzki.

1) „Skrzydlaty chłopiec” to tytuł książki Kornela Makuszyńskiego

2) *Przypominamy, że w „ZT” Nr 12 str. 17 jest opis ucieczki z Tłumacza Maksa Hartensteina na podstawie książki wyd. w Izraelu w 1970 r. "The Righte ans Gentiles" Shlomo Blond.*



Tel-Aviv – Karol demonstruje lot

## Zawiadomienie

Pragniemy już teraz zasygnalizować termin Spotkania Oplątkowego tłumaczan i sympatyków, które planujemy w dniu 16 stycznia 2002 r. (środa) w restauracji „Śnieżka” I p. przy Pl. Muzealnym

Spotkanie poprzedzi msza w kościele św. Doroty przy ul. Świdnickiej – gdzie znajdują się nasze 2 tablice.

Koszt obiadu ustalono na 15 zł.

Spotkanie odbędzie się w przedpołudniem – dokładne godziny mszy i obiadu podamy w następnym „ZT”. Serdecznie zapraszamy!!!

Zarząd

## Komunikat

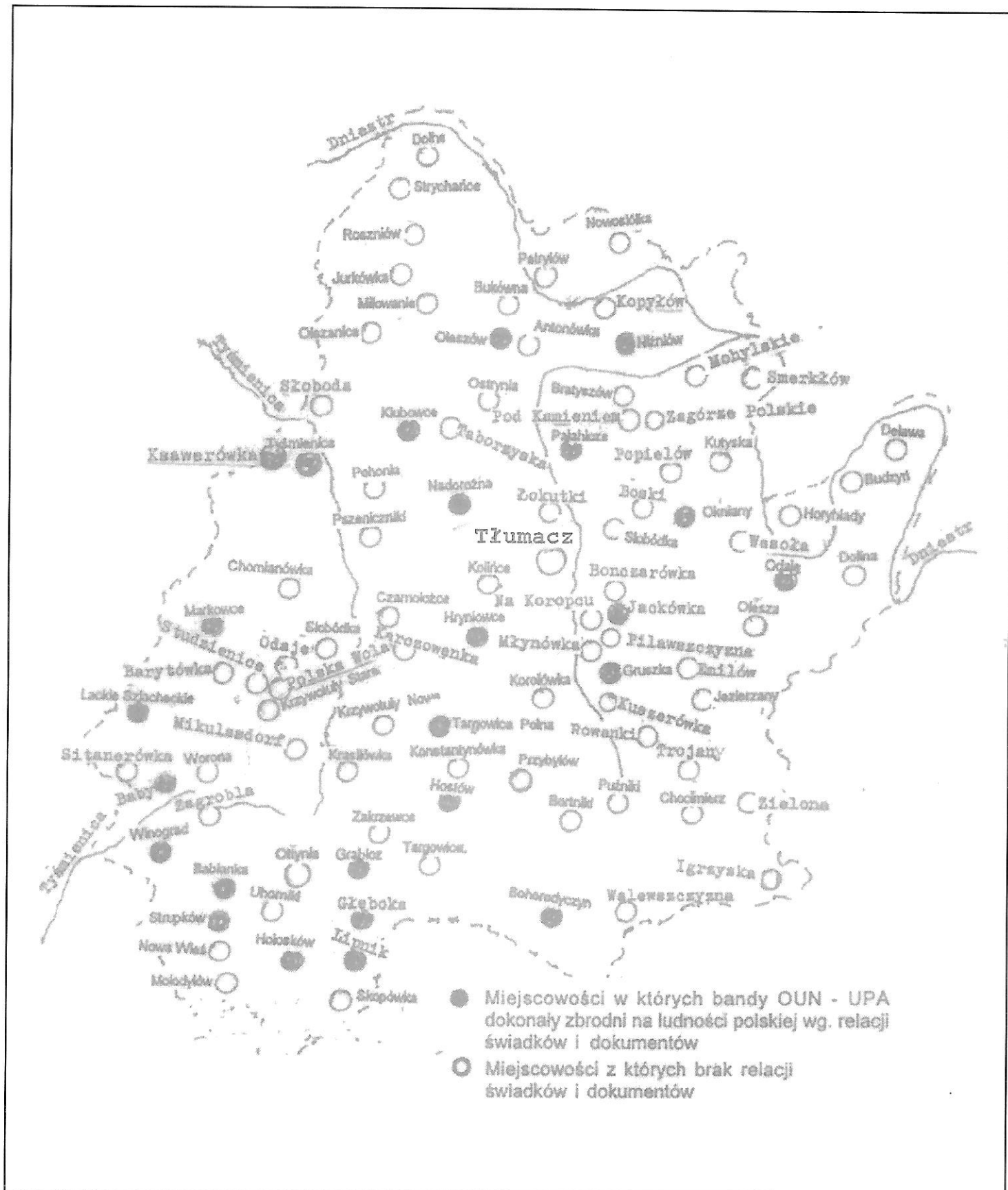
Zarząd Oddziału informuje, że cena prenumeraty „Zeszytów Tłumackich” w przyszłym roku nie ulega zmianie i wynosić będzie 20 zł.

W związku z tym prosimy o wpłaty z dopiskiem prenumerata 2002. Równocześnie przypominamy o obowiązku uregulowania składek członkowskich, które wynoszą 18 zł rocznie. Nasze konto TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1.

Zarząd

## Wykaz Darczyńców Tłumaczan za III kw. 2001 r. (w zł.)

- |  |       |   |      |
|--|-------|---|------|
| 1. Stefania Piotrowska, Sanok.....     | 100.– | 6. Anna Korczowska, Gliwice .....       | 25.– |
| 2. Anna Apanowicz Lind, Kielce .....   | 12.–  | 7. Stanisław Mierzwiński, Gliwice ..... | 25.– |
| 3. Władysława Marcinkowska, W-wa ..... | 12.–  | 8. Władysław Hapoński, Lublin .....     | 82.– |
| 4. Jan Lipiński, Głubczyce .....       | 22.–  | 9. Jadwiga Chruszczyk, Kanada .....     | 20.– |
| 5. Rudolf Woroszczuk, Brzeg .....      | 62.–  | 10. Roman Sak, Australia .....          | 40.– |



Szkic mapy powiatu Tłumacz  
 Podział administracyjny - stan na 01.01.1939r. - wyk. Henryk Komański  
 Przedruk z czasopisma "NA RUBIEŻY" nr 32/1998r.

055 11029

4-00zi